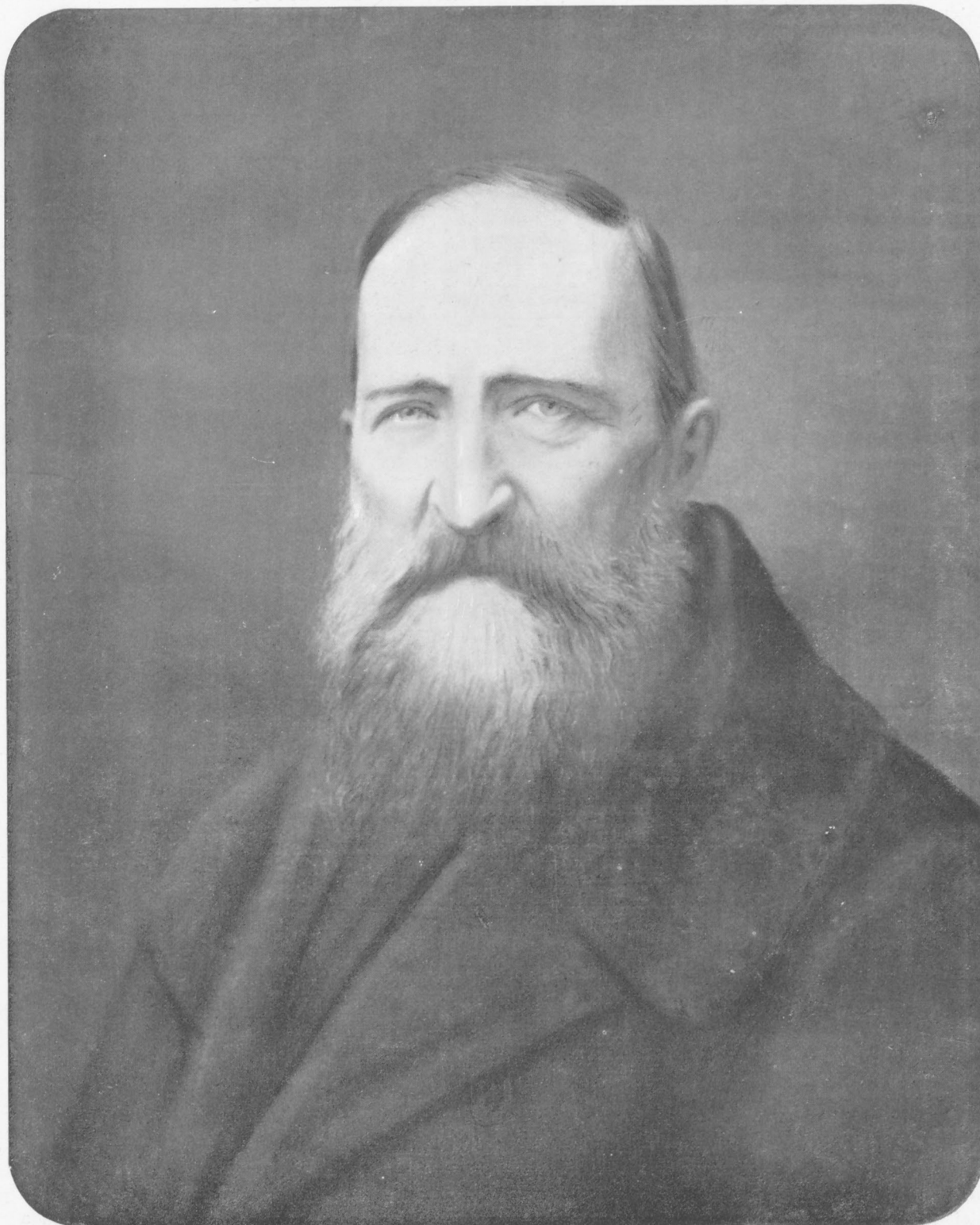


# *Wies' ilustrowana*



I. J. Kraszewski.

# BOLESŁAWITA

(JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI).

Wielki Rok 1812. W ogniu epokowych swych wypadków wytworzył tak silny zaczyn duchowej energii, że w odblasku jego z dusz społeczeństwa naszego nie jedno wielkie i jasne zapaliło się światło, nie jedna wzeszła gwiazda geniusza twórczego i potężnej pracy nad mrocznym horyzontem naszych dziejów.

W chwili gdy w roku tym „obfitym w wypadki i ludźmi błyszczącym“ ujrzał światło dzienne w Paryżu autor „Irydjo-na“, w zakątku wołyńskiej ziemi urodził się Józef Ignacy Kraszewski.

W literaturze naszej a nawet europejskiej postać to tak znana, wszystkie szczegóły jego pracowitego żywota tyle już wywołały biograficznych studjów, że nie potrzeba już szerszej popularyzacji faktów które są same przez się rzeczą drugorzędą wobec indywidualności człowieka do którego się odnoszą.

Z odległości z jakiej żyjące pokolenie patrzy na postać Kraszewskiego jedynie ważną jest rola jaką on w rozwoju naszym kulturalnym odegrał i stosunek społeczeństwa do pozostałej po nim spuścizny. Obok literatury w wielkim stylu, literatury — sztuki, literatury wielkich i samotnych w tej wielkości swojej indywidualności jest druga o znacznie skromniejszej

sile, ale o wielkich zasługach i szerokim polu ciągłej, nieprzerwanej swej działalności. Jest to literatura życia codziennego, piekąca chleb konieczny dla szerokich i coraz szerszych warstw całej i pseudo-inteligencji, przygotowująca te warstwy do pojmowania rzeczy większych i wyższych, tworząca w tem pewną praktyczną szkołę publicznego wychowania i wykształcenia społecznego. Literatura ta ilościowo zawsze i wszędzie przeważa nad artystyczną — nie potrzeba bowiem do niej się wspinać. Znaczenie jej jest wielkie, nie z powodu istoty twórczości jej autorów, którzy nie bywają pionierami nowych dróg a tem mniej ojcami nowych wartości ale dlatego właśnie, że rozmieniają oni wciąż wielkie klejnoty ideowe na drobną obiegową monetę o codziennym popularnym kursie. To właśnie jest jej misją kulturalną: popularyzowanie ideałów.

Józef Ignacy Kraszewski nie tylko że na tem polu pierwszorzędną i przeważną rolę w ciągu lat kilkudziesięciu odegrał ale był w XIX wieku pierwszym pisarzem polskim, który doniosłość pracy na tem polu pojął, należycie ocenił i samą pracę rozpoczął kładąc pod przyszły wówczas, dzisiejszy jej rozwój olbrzymi fundament talentu i wiedzy.



Kaplica w Romanowie.



Dwór w Romanowie.



Oficyna w Dothem, pow. Prużański.

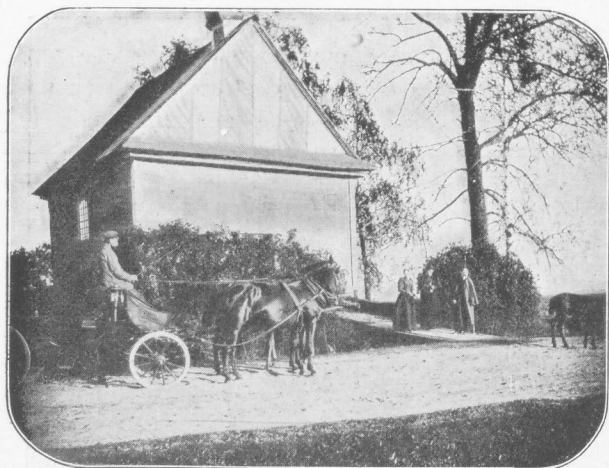


Dwór w Romanowie (od strony ogrodu), w którym J. Kraszewski wychowywał się przy swych babcach: Nowomiejskiej i Malskiej.

Polska po roku 1863 zmodernizowała się skutkiem wprowadzenia wielu urzędzeń i instytucji kulturalnych — rozwinęło się w niej dziennikarstwo i czytelnictwo.

Ogromną rolę w tej modernizacji odegrał Kraszewski. On to stanąwszy w r. 1862 na czele redakcji „Gazety Polskiej” doprowadził w krótkim czasie to pismo do nieznaney w Polsce cyfry prenumeratorów 12,000! Ta właśnie działalność jego rozwinęła czytelnictwo pism wogóle bardzo szybko. W r. 1862 wszystkie wychodzące w Warszawie czasopisma liczyły razem do 15,000 abonentów, po roku zaś 1863, zaczęły wychodzić: *Bluszczyk*, *Kłosy*, *Tygodnik Powszechny*, *Przegląd tygodniowy*, *Ateneum*, *Prawda*, a niektóre z nich przekroczyły z czasem cyfrę ogólnego nakładu prasy z r. 1812.

Jako publicysta, dziennikarz, krytyk, historyk, archeolog, obdarzony ogromną łatwością pióra, poruszał Kraszewski wszystkie kwestje społeczne — bieżące i zasadnicze, a wykazując niepospolity dar przenikliwości i politycznej orientacji w tem co było dla czytającego ogółu aktualnością chwili; był ten pisarz niecznym budzicielem ducha i wszelkich odru-



Kaplica w Dolhem.

chów życia umysłowego. Ogromna, niestrudzona i tak wszechstronna jego działalność szczepiła u nas gust, a przede wszystkim zaufanie do własnej literatury i cywilizowanych podstaw życia, ona też i twórczość innych budziła z uspienia, pobudzała do walki i czynu.

Józef Ignacy Kraszewski poza tym olbrzymim i szczelnie już wypełnionym zakresem pracy publicznej był jednak jeszcze najpłodniejszym powieściopisarzem naszym — w literaturze świata całego do najpłodniejszych należy, zupełnie śmiało i z przewagą nawet wytrzymując porównanie z takim Dumas'em, któremu przecież, jak wieść niesie, pomagali osłonięci mrokiem zapomnienia pisarze mniejsi.

Kraszewski, jako powieściopisarz, wyparł z polskich domów francuskie książki i zastąpił je polskimi; napisał tych książek więcej ilością, niż ile przeciętny nasz inteligent w ciągu całego życia przeczytać może. Gorącą, głęboką, niczem nieustraszoną miłością ojczyzny objął jej przeszłość i przyszłość, zapuścił wzrok rozkochany we wszystkie doby, szczegóły i skutki tej przeszłości, przytulił do serca wszystkie warstwy, odłamy, wyznania, wyżyny i niziny teraźniejszości miłością zawsze czynną, śpieszącą z dłonią wyciągniętą wszędzie tam, gdzie było ludzkie cierpienie, krzywda, rozterka.

Kraszewski był wcieleniem i streszczeniem swoich czasów i swego społeczeństwa, ze wszystkim, co w nim było wielkiem i małym, dobrem i złem.

Reprezentował on zawsze „złoty środek“ — jak to różni pomniejszyciele naszych narodowych wielkości nieraz mu wypominali. Prawda. Ale nie było to skutkiem wyrachowania lecz wrodzonym jego usposobieniem, które czyniło go da-

lekim od wszelkiej skrajności. Natura jego najchętniej przechylała się do przeciętności szlacheckiej, talent jego zatem powstał na podstawie tych skłonności i często był ich wyrazem. Tym skłonnościom należy też przypisać u Kraszewskiego ową zdolność do pracy wielostronnej, do przerzucania się na różne stanowiska obserwacyjne, a nawet niekiedy — przekonaniowe.

Jeszcze wśród najżywszego ognia 1863 roku rozpoczął pod pseudonimem Bolesławity szereg powieści osnutych na tle ostatnich wypadków dziejowych. „Dziecię starego miasta“ było pierwszym ogniwem, następne zaś z tego samego cyklu, pod względem artystycznym bardzo nierówne, tę samą nierówność napięcia dramatycznego i ekspresji ogólnej wykazują — w miarę jak zmieniało się napięcie uczucia ogółu, w miarę jak ten ogół na liczne wypadki coraz to z innego stanowiska przymuszony był patrzeć. „Żyd“ i „Szpieg“ są w tym cyklu utworami pełnymi fantazji żywej i ruchliwej — stąd jest w nich, zwłaszcza w pierwszym, pełna wdzięku poezja. „My i oni“, utwór końcowy tego cyklu, znamionuje już odpływ energii, zanik entuzjastycznych wierzeń, jakkolwiek powieść ta jest dużej wartości dokumentem historycznym.

Takie przejścia od akordów wiary i zapału do minorowych tonów refleksji i przygnębienia nie odliczały jednak nigdy „Bolesławicie“ ani Kraszewskiemu nadziei — i on sam nie odliczał też jej narodowi nigdy. Wierzył w Boga i Jego sprawiedliwość, w ukryty sens historii, w przyszłość kraju — tylko nie widząc już tej przyszłości wyraźnie, nie próbował jej malować...

Nie desperował sam i nie zakładał rąk. Dał przykład pracy pozytywnej, obywatelskiej. Przykład tak wybitny i wielki, jakich wogóle zdarza się mało.



Dwór w Dolhem.

Przy bajecznej swej pracowitości i znajomości stosunków polskich, we wszystkich odłamach i stronach kraju, podjął się między innymi Kraszewski zadania, któremu oprócz niego niktby nie podołał: w r. 1866 zaczął wydawać „Rachunki“ Bolesławity, przegląd ważniejszych wydarzeń w całym kraju.

Największa i nie-  
spożyta zasługa Kraszewskiego to jego powieści historyczne. Opinie i przekonania, których wyrazem był za czasów swej działalności publicystycznej dawno już przeminęły. Minał czas i jego aktualny wyraz. Społeczeństwo raz zbudzone do czytelnictwa swojskiego, raz napojone doń wiarą — poszło już tym szlakiem ogólnego rozwoju kultural-

Ale obraz tego czasu i życia, które przeminęły a które dla nas są skrzynią nauki i skarbem wiedzy, zaginęłyby może, gdyby nie Kraszewskiego nie-strudzona myśl i znojna praca. On zachował dla nas i przyszłych pokoleń cały bogaty szereg obrazów, barwnie malowanych, ożywionych poezją, fantazją i obserwacją niezwykłą, odbijających wiecznie ducha czasu i obyczajów, tętno stosunków ówczesnych. I nie przestał na tem. Sięgnął do archiwów zapyłonych, do kronik dawnych, do tradycji ustnych

i zacząwszy od mrocznych jeszcze pierwszych lat i początków społecznego i państwowego życia naszego, nakreślił cały ogromny cykl powieści histo-



Dożynki w Romanowie u p. Krzysztofa Kraszewskiego  
(fot. amat. p. K. Męczyńskiego).



Dawna cerkiewka unicka w Huniatyczach (fot. amat. p. Lucjana Kraszewskiego).

nego, do którego wrota otworzył mu Kraszewski, ale którego na dalszej drodze czekały już i jeszcze czekają nowe talenty, budziciele ducha i życia.

rycznych, przechodząc w nich od stulecia do stulecia, od panowania do panowania, od magnata do chłopca i od szlachty do rzemieślnika miejskiego.

Powstała tym sposobem w literaturze naszej „historja w powieści“ równie barwna jak ta, którą Francji pozostawił Dumas, obszerniejsza od niej jednak i uwzględniająca nie jedno tylko uprzywilejowane i wybrane, ale wszystkie żywe środowiska historycznego bytu i postępowego kształtowania się wszystkich warstw, chłostających naród.

Ta „historja w powieści“ to najpewniejszy sposób i środek spopularyzowania dziejów narodowych wśród szerokich mas — środek, który nie zawiodł dotąd i który jeszcze niewątpliwie potężne wyda rezultaty.

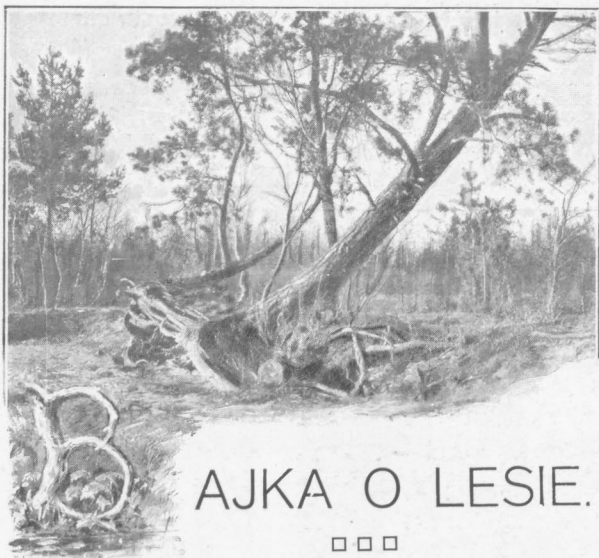
Od obyczajowych i społecznych powieści Kraszewskiego odeszły już wyższe inteligentne i wykształcone, lub tylko udające to wykształcenie warstwy. Nie czyta się już dziś Kraszewskiego. Tylu

innych, większych i promienniejszych dziś pisze! Ale całe pokolenia jeszcze — te uczące się dziś i dorastające pokolenia czytać go powinny i uczyć się na nim. Wszak one go nie znają! nie przesycały się nim! a co ważniejsze — nie nauczyły się niczego od autora „Starej Baśni“...

Kraszewskiemu wdzięczne społeczeństwo w roku 1880 urządziło jubileuszowy obchód w Krakowie. Obchód tak wielki i świetny jaki nie był udziałem żadnego z naszych pisarzy.

Ale trwalszą pamiątką, *aere perennius* pomnikiem będzie wielkiemu pracownikowi naszej własnej kultury, właśnie sama ta kultura nasza — kultura co szczepi w sercach ogółu naszego wieczną wdzięczność i wieczną pamięć dla szerzycieli światła i budzicieli ducha!

RED.



## AJKA O LESIE.

□ □ □

**B**ył sobie raz pewnego las. Drzewa rosły w nim na odległościach, każdemu gatunkowi stosownych. Olsze i sosny do siebie bliżej, dęby zaś, jako potrzebujące gruntu dużo — od siebie dalej.

Życie lasu to wzajemne drzew porozumienie. A porozumienie to polega na tem, że każdy gatunek chce wytwarzać i wytwarza właściwości swoje w stopniu jak najwyższym, jak najlepszym. Brzoza będzie rozumiała, najrozumialsza jodle wówczas, kiedy będzie najbielsza z najbielszych, kiedy będzie z płaczących najbardziej płacząca; i nawzajem jodła brzozie najbardziej da się zrozumieć, kiedy będzie z wysmukłych najwysmuklejsza, z prostych najprostszą, z żywicznych najbardziej żywiczna, z szumiących najbardziej szumiąca. Dąb najtężej w ziemi osadzony, najgałęzistszy, najkrzepczy, najoporniejszy burzom, najzdrowszy sercem, najbar-

dziej obfity w żołądziej da się najlepiej zrozumieć najbardziej czarnokorej, gładkiej, pachnącej i najbardziej pszczoł brzękiem rozdzwonionej lipie. Wytworny, pański modrzew, kiedy najsubtelniej mimo zowatemi gałązeczka swemi powiewa, staje się najrozumialszym ponuremu najbardziej, najbardziej posępnemu i, jak chłop, pomrukującemu bukowi. A kiedy wierzba swoją wątlą i chrupką drzewinę potrafi najzłocistszemi, najśmiglejszemi chlubami rozradościć, najrozumialsza jest, najrodzeńsza, najbliższa krzewowi kaliny o liściu najbardziej szerokim, o przyozdobie z najczerwieńszych jagód.

Te drzewa najlepiej się rozumieją, te drzewa najbardziej są przyjazne sobie, te drzewa najmilej się w sąsiedztwie rozwijają, które dzięki temu sąsiedztwu, temu współżyciu, właściwości swoje istotne i cechy doskonałą i potęgują. Rozumieją się, sympatyzują ze sobą, sprzyjają sobie tem, że jeden gatunek pomaga drugiemu być sobą. Nie przez wzajemne upośledzanie, upadlanie się, nie przez rezygnację ze swoich zalet, nie przez upodobnianie się sobie na gruncie wzajemnych obniżek, tylko przez wydobywanie z siebie swoich przyrodzonych talentów i wzajemne współzrzedne ich wypielęgnowywanie i wyhodowywanie takie, aby one były jako różne niepodobne do siebie, a do tak boskich harmonji prowadzące dźwięki i tony; nie przez ogólne zszarzenie, nie przez wzajemne obrudzenie się, jeno przez zobopólne pomaganie sobie w życiu, którego celem jest najczystszy gatunkowy przejaw, odbywa się porozumienie między drzewami.

To jedno porozumienie wewnętrzne.

A jest i drugie porozumienie bardziej materjalne, dotykalne, zewnętrzne.

Drzewa porozumiewają się, splatają, dotykają, obcuja, łączą się odnogami gałęzmi, gałązkami, potem gałązeczkami, pędami i liśćmi. Im dalej brać w kierunku najdalszych rozrostów, im w najbardziej młodzieńczej pełnej dziewiczego rozpędu i najbujniejszego natężenia soków odbywa się ta spójnia, tem jest ona bliższą, subtelniejszą i tam właśnie, w tej dziedzinie zwarć drzewa są dla siebie najzrozumialsze.

I jeszcze jest jedna sfera, jeszcze wyższa, jednoczenia się z sobą drzew.

To sfera zapachów.

Jeżeli drzewa, pniami nieruchomo w ziemi osadzonemi nie mogą się zbliżyć, odnogami nie mogą się dosięgnąć, gałęzmi ledwie się gdzieniegdzie dotykając, trac się cokolwiek bliżej gałązkami, jeszcze czulej w gałązeczek spleceni się pieszcząc i w całujących się liści i listków małżeństwie już najbliżej się ze sobą widzialnie strąca: to jednak w zbliżeniu tem zawsze można odkryć i wskazać gdzie się kończy drzewo jedno a zaczyna drugie. Tu dotąd jest — mówimy — białokora dziewiczo brzoza; dotąd dochodzą jej miłośnie wyprężone gałęziaramiona, i dotąd jej sięgają rozplecione, bujne warkoczki — pędy i koniuszczki tych warkoczów — liście; a tam oto — możemy wskazać — dochodzą też kochaniem rozwarte gałęzie przystojnego, rosnącego świerka i dotąd oto dochodzą igły-kosmyki na jego niby przystrzyżonych cokolwiek gałązkach-wąsach. Jest to porozumienie się jeszcze ściśle materialne, zmysłowe, iżby tak rzec.

Ale jeżeli dwa świeżo rozkwitłe, miłośnie rozu-

miejące się nawzajem drzewa, oddechami się swemi tam w górze łączą; kiedy już te aromatyczne ich oddechy będą jako te dusze, które się zrozumiały, pojęły, które się przeniknęły nawzajem, które się w sobie zatraciły, bo tego zatracenia w sobie łakną, bo ta ich dobrowolna, ta dobro-wonna ich (że tak powiem) w sobie samo-zatrata, to ich samo-zaguba w sobie jest dla nich odnalezieniem nowego jakiegoś rozkosznego współistnienia; kiedy już nastąpiło to misterjum, w którym oba świeżo wiosennie

rozkwitłe drzewa te zapachniały do siebie swemi woniami, szepcząc, lub zaszeptaly, pachnąc nieurymnie: a teraz rozumiem! i kiedy już jedno drzewo wydało z siebie tę najwyższość, tę najlotniejszość taką, która gdy jest pojęta ginie w najwyższości oddechowej drzewa, które tamto pojmuje i pojmując, przepada też samo: wówczas nie można już wypowiedzieć gdzie kończy się duch jeden, a zaczyna drugi.

Można tylko powiedzieć: te drzewa pachną.

A kiedy już wszystkie tak w lesie drzewa się pożenią, czasu wiosny, wtedy możesz, wszedłszy

do tego lasu, powiedzieć: ten las pachnie. Ten las pachnie.

Te drzew zapachy — to dusze ludzkie.

Te drzew liście, gałązki i gałęzie — to ciała.

Te pnie — to narody.

Ten las — to człowieczeństwo.

Ten las pachnie, kiedy się dusze łączą ludzkie podczas wiosny.

Ten las zionie miazmami czasu wojen, — kiedy śmierć podcina kosą pnie całe, całe narody.



Las (fot. amat. p. Wł. Gumińskiego).

Czy przyglądaliście się kiedy, będąc w lesie, drzewnym pniom, nie całym drzewom tylko pniom? Jeżeli tak, to zauważyliście pewno jak wszystkie pnie od dołu, zwłaszcza co starsze, porasta zielony nalot, mech.

Historja tej naleciałości jest następująca.

Pień drzewny, o niebie coś-tylko-niecoś za pośrednictwem najgrubszych odnóg, wiedzący, a w przyziemnościach czas trawiąc, jest... jakby tu powiedzieć, jest jak pień. Ale jest tylko pniem, jak pień wówczas, gdy się chce od reszty drzewa wyodrębnić i traktować się, jako coś samoistnego, któremu nic do szczęśliwości nie potrzebne, oprócz długiego mocnego korzenia.

Otóż, wydało się pewnego razu tym pniom, że mogą się za takie samoistne, w korzennej z ziemią zżyłości i zrośnięciu będące persony uważać.

I zapragnął taki jeden z drugim potentat wejść w bliższą styczność, aby sobie nawzajem bębienka podbijać i nawzajem się poklepywać i umacniać w zapoznawaniu wyższych swoich, coraz podniebniejszych, coraz szczytniejszych rozgałęzień, a po-przestawianiu jedynie na samych odziemkowych słojach życia.

Zbliżyć się zachciało pniom do siebie, zejść się, ale jak?

Jakże pień ma się z pniem zejść, kiedy są w ziemi nieruchomo osadzone.

Myślały pnie i myślały nad tem, ale że myślały jak... pnie, więc nic nie mogły wymyślić. Zdawało im się, że zbliżą się do siebie, grubiejąc i pęczniejąc w obwodach swych. Ale to ich zbliżyło niewiele. Co tu robić? — myślały.

Kora się aż na nich z wielkiego mozołu myślowego popękała i pobruździła, i nic. Nic nie mogły pnie wykombinować.

Ale znalazło się jedno „złe nasienie“, jak to mówią, pewnego ziela, które widząc ten frasunek pni drzewnych, postanowiło przyjść im z pomocą — zbliżyć je.

Tem zieleń był mech.

Wszystkie pnie obszyć na jednakowy brudnoszaro-zielonkowy kolor i w ten sposób je do siebie wyglądem zbliżyć: oto na jaki pomysłowy, iście msi sposób wziął się mech.

Różnice poszczególnych pni tak zamścić, aby żaden się niczem nie odróżniał od innych. To jest jedyny sposób zbliżenia pni.

I pniom wygodna i mchowi korzyść, gdy się tak na wszystkich pniach porozplenia.

Jak zaczął mech rosnać, tak wkrótce żaden pień nie mógł się od innych pni odróżnić. Nie wiadomo było pniowi dębu, czy on nie jest naprzykład pniem smrodyni, buk musiał się macać dopiero po wyższych gałęziach, aby się upewnić, że jego pień nie jest pniem osiki, a białodrzewu pień w zielonkawej, mszywej opończy mógł się uważać również w podobny mszywy kozuch opatulony pień graba.

Tak wszystkie pnie, gdy otrzymały ten pasorzytny, mszywy przyrodziewek, bratersko się niby napozór do siebie zbliżyły, upodobniły, ale upodobnienie to, uniformowość ta — powiedzmy, o ile się tak, o drzewach mówiąc, powiedziec godzi — uniformowość ta żołądacka, nietylko że pniom żadnego wewnętrznego zbliżenia nie zapewniła, lecz jeszcze dla reszty drzewa, dla korzeni i gałęzi miała jak najzłubniejsze następstwa.

Oto drzewo, jedno za drugim, dla niewiadomych im samym przyczyn, zaczęło murszeć i usychać.

Jedne zwały to na wiek swój i umierały zrezygnowane, mówiąc: nażyliśmy się.

Innym zdawało się, że przyczyna złego tkwi w korzeniu i marły w tem przeświadczeniu, że na to zło „radykalne“ leku niema.

Inne mówiły: żebyśmy się nie pragnęły były do siebie, pnie, zbliżać, to może by nas ominęło zbudowanie. I marły.

I zmarł las.

I zmarł starodrzew. Umarł, bo składały go pnie, które chciały żyć separatystycznym życiem pnia, a nie całego drzewa.

Ale kiedy już ostatni mamut drzewny padł, przez mchy zżarty, na tych trupach, z nasion powyrastała młodzież.

I młodzież ta zaczęła żyć inaczej.

Młodzież przedewszystkiem rośnie — do słońca.

Młodzież nie lanknie zbliżeń przyziemnych, odziemkowych; młodzież nie dba o grubość pnia, o tuszę, o pękatość.

Młodzież śmiga tak do słońca, do nieba, do wyżyn, do czystych przestworów podobłocznych; młodzież tak corychlej pragnie bujać tam wysoko, tam najwyżej wzniesć swoją koronę i tam zakwitnąć, że ten jej żywy rozpęd ad astra nie daje żadnym mchom pasorzytnym do niej przystępu.

O ty, Młodości — Młodości ludzka! Rośnij, jak te drzewa młode, najwyżej i łącz się, ale łącz się rozkwitem w niebiesiech ducha korony.

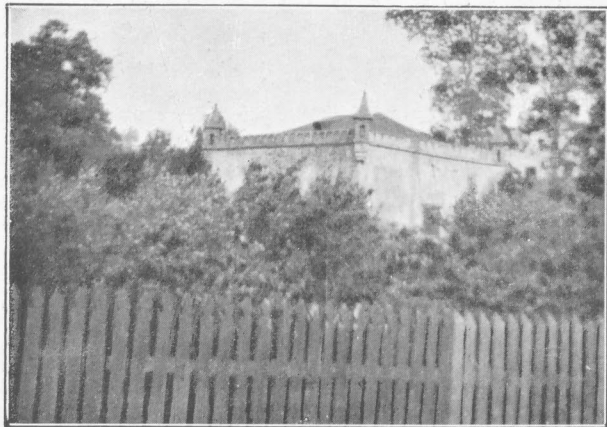
JAN LEMAŃSKI.



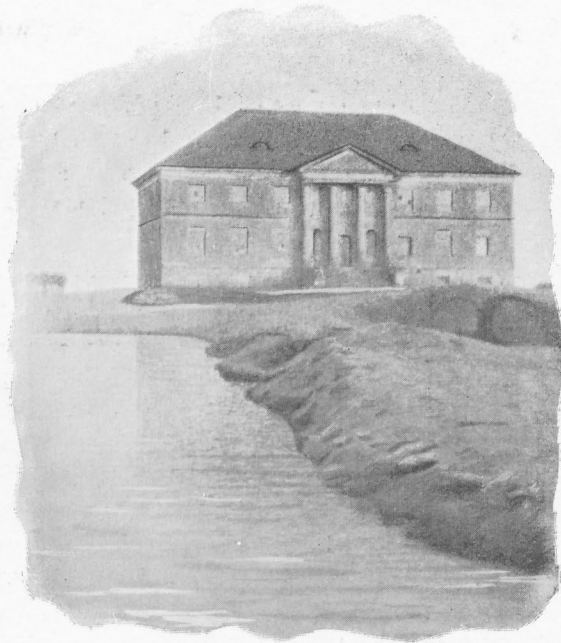


# Z SANDOMIERSKIEGO.

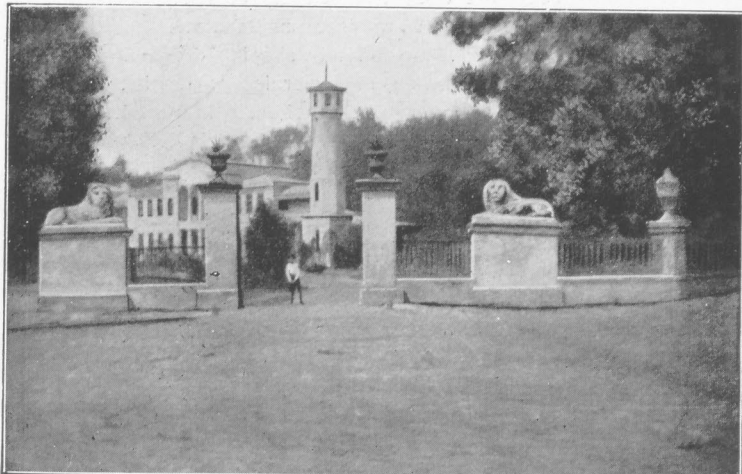
WŁOSTÓW, DOBRA P. MICHAŁA KARSKIEGO.



Stary lamus z XV stulecia.

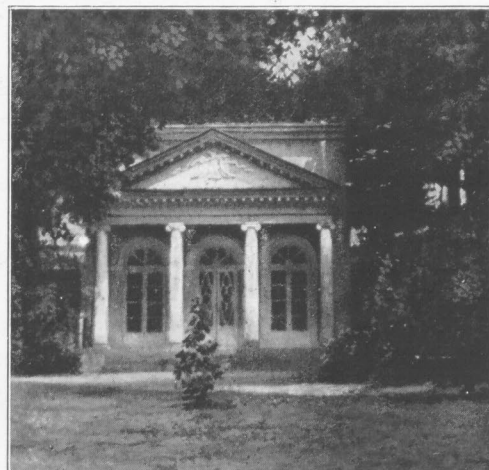


Stary spichlerz.



Wjazd do pałacu.

(Fot. amat. p. Zofji Karskiej).



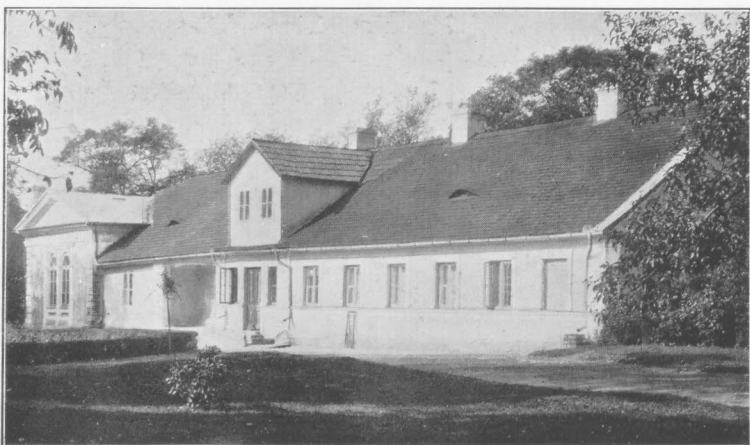
„Dom grecki“ w parku w Włostowie.



Stary dwór w Włostowie.



Kościół z XVI wieku.



Z Sandomierskiego. Dwór w Jankowicach, własność p. Baczyńskiego.

## POD SANDOMIERZEM.

(FRAGMENT Z OPOWIEŚCI Z CZASÓW NAPOLEONA I).

Wojtek z swym koniem zakradł się w zarośle,  
I słuchał dziwów co działały się w cieniu;  
Kasztan to głowę podnosił wyniosłe,  
To ciepłe chrapy kładł mu na ramieniu. —

„Dziwy!... dalekie tentnieją gonitwy,  
Z przed Opatowskiej bramy idą szczęki,  
Z cieniów się gwary wyłaniają bitwy,  
Cięcica, — zderzenia, — komendy i jęki...  
Naraz się księżyc wychynął z za chmury  
Patrząc na ziemię szedł powoli niebem,  
Jak grabarz idzie z latarnią, ponury,  
Miejsce mogiły obrać przed pogrzebem.  
I Wojtek przejrzał... rozwarł gębę, oczy,  
Patrzy...

„La Boga!.. Czy to jakie zmory?“

O jedną stają wał się ludzki toczy  
A ludzie tacy straszni jak upiory,  
Tak się kołyszają, — tak wałają, jak snopy,  
Tak się na wały wdzierają zaciekle,  
Zapamiętałe rwą się na okopy,  
A tacy czarni — jako djabli w piekle...  
„Rety!“

Wtem przed nim zrobiło się jasno  
Jak gdy piorunem chmury się roztrzasną.  
I upadł granat!..

Tarza się i wiję,  
Kręci, — obraca, — jakby żarł sam siebie,  
Żwirem zamiata, — żre ziemię i ryje,  
Jakoby świadrem zakręcał się w glebie,  
I syczy żądłem jak ognista żmija. —  
Wojtek odskoczył...

„O Jezu Maryja!“...

Szarpię cuglami, mota w ręce drżące,  
„Tfu!“ splunął... zaklął... a zegna się razem,  
Wtem granat rozpękł się w grotów tysiące...  
I lunął w krzaki ognistym żelazem!..  
Scierpł z grozy Wojtek...

„Najświętsza Panienko!

„Ostoń mnie twoją złocistą sukienką!“

Modli się... w grzywę ręce wpił jak  
kleszcze,  
W uszach mu szumy powstały wichrowe,  
Koń drży... i jego przebiegają dreszcze...  
Do szyi konia tuli drżącą głowę...

Wtem znów świst kuli zasyczał złowrogi,  
Drugi padł granat do prawego skrzydła, —  
Koń się Wojtkowy zdarł na zadnie nogi,  
Łbem w górę rzucił — aż zgrzytły wędzidła...

Zarył się... rozwarł nozdrza zakrwawione  
I raz ostatni zarżał, — potem głowę  
Od ziemi podniósł, — i w pachółka stronę  
Runął — łeb kładąc pod nogi Wojtkowe...

Huczały działa... dudniało dokoła,  
Jakby się straszny wichur zerwał z błonia.  
A Wojtek zgłupiał, nic nie widząc zgoła

Tylko łeb sztywny zabitego konia. —  
Słyszał jak wkoło straszne poszły jęki,  
Słyszał jak ziemia stękała i drżała,  
Lecz teraz wszystkie odpadły go lęki,  
Tylko mu żalność w sercu zapłakała...  
„Cożes ty?.. za co?.. ty skapino droga...  
„Ty biedny zwizu, mos cierpieć od ludzi!..  
„Cożes im krzywy?.. ze cię... o la Boga!..  
„Nawet już moja żalność nie obudzi?!..

I głową kiwa... łzy leje... dłoń łamie...  
I myśli... myśli... naraz mu się widzi,  
Że jakaś siła podnosi mu ramię,  
Że ktoś z łez jego... z jego żalu sztydzi...

Wojtek się nagle rozejrzał wokoło  
I jakby myśli zmienił mu się wątek,  
Rękawem szybko łzę otarł i czoło,  
Rzucił się naprzód — i wpadł w bitwy wrzątek...

Wtem mu się ziemia osunęła ślizka,  
Spojrzał... coś czarne... krew!.. to żołnierz kona,  
Leżąc na plecach, rozwarłszy ramiona...  
A w świetle krwawy karabin polyska...



Z Sandomierskiego.  
Przed dworem w Buczku, własność p. J. Targowskiego.

Wojtek się schylił, — poznał mundur obcy,  
Bo ciemne sukno, a żółte obszegi, —  
Porwał karabin — rzucił się do kopcy  
I jako wichur wpadł między szeregi...

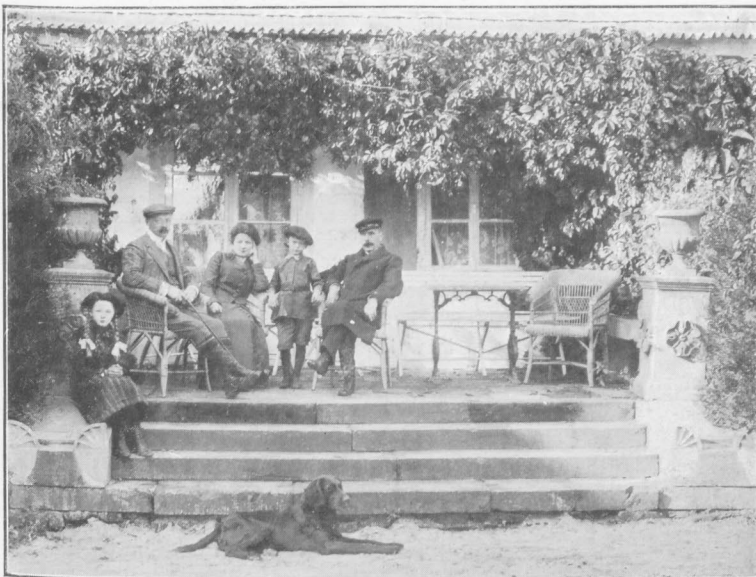
I wnet skrwawionem wywija żelazem,  
Wznosi wysoko, — to poziomo zniża,  
Wali gdzie trafi... a za każdym razem  
Syknie jak żmija: „Mos za tego zwrizal!..  
„Mos, ty psi synu!.. ty wiaro pogana!  
„Mos austryjaku za mego kostana!!..“

Wściekłość się w Wojtku rozpasła taka,  
Żałość w nim siłę tak zdwoiła młodą,  
Że gdzie dopadnie jeno austryjaka  
Kole bagnetem — lub wali jak kłodą...  
Rzuca się naprzód niby opętany,  
Już nic nie widzi — ...nie czuje... nie słyszy...  
Żądny krwi jeno... i tą krwią pijany  
Tylko śmierć niesie... tylko śmiercią dyszy...

Wojtek oszalał... bagnetem wywija,  
Krew mu zalewa i oczy i ciemię,  
Wtem pierś uchwycił: „O Jezu Maryja!“  
Skręcił się... złamał... i runął na ziemię!..

Jak, gdy zaraza dopadnie do sióła  
I zmiata życia zakrwawioną chustą,  
Tak kędy Wojtek przeszedł... tam dokoła  
Ucichła walka i stało się pusto...  
Tylko nań patrzy miesiąc bladą twarzą,  
Tylka go trupy otaczają wieńcem,  
Jak gdyby chciały swą śmiertelną strażą  
Zrobić zwycięzce — zwyciężonych jeńcem...

Wstał ranek,... wyjrzał,... uśmiechnął się słońcem,  
Przejrzał się w wodach i zroszonych trawach,  
Jakby zaduman nad polem krwawiącym  
O nocnej walce i dzikich rozprawach...



Z Sandomierskiego. Przed dworem w Bielinach, własność pp. Bielińskich.



Z Sandomierskiego. Przed dworem w Sobótce majątek p. Cichockiego.

Alle do słońca miasto się zaśmiało,  
Bo już zwycięstwo nocne twogi gasi,  
Więc kto żyw wyległ... i miasto zawrzało:  
„Witajcie mili... Witajcie, wy, nasi!..“

Przed Ratusz, mieszczan biegły tłumy zwarte,  
Powiały chusty u wzniesionych dłoni,  
„Niech żyje wojsko!.. legje!.. Bonaparte!..“  
...I kwiaty stali pod kopyta koni...

Jadą ułani... „Hej ułani nasze“!..  
A chorągiewki furkają barwiste,  
Złoczone blachy, błyszczące pałasze,  
Czapy rogate... kity wystrzeliste...

A tak umięją swoich koni zażyć,  
Że rzekłbyś jeździec z swym rumakiem pływa,  
A tak dorodny — że się będzie marzyć  
Prześliczny ułan — w lubych snach dziewczynie.

Dał znak Generał... Srebrną mignął  
klingą...

Zawarczał bęben... Zagrali trębacz  
Znanego marsza, co aż w San-Domingo  
Na śmierć i sławę wiódł legje tułacz...  
Trębacz grali zamaszycie... długo...  
Aż się zwycięzkie skłoniły sztandary  
U drzwi świątyni, — a w ślad jedną strugą  
I lud i wojsko wpłynęli do Fary...

I uderzyli w śpiew...

A pod wiązanie  
W kadzideł dymie i w dzwonów klągorze  
Z tysiąca piersi — jak jedno błaganie  
Wzbiło się w górę hymnem:  
„Święty Boże“

IDA PILECKA.





Wotyń. Park w Wyszpole (fot. amat. p. Ady Salis).

## WIELKI POST.

---

Śnieg ledwie pruszy — wicher dmie  
I gra na lasu strunach,  
Co stoi czarny — jak w półśnie...

Dłuższe, jaśniejsze coraz dnie,  
W zachodu krwawych łunach.

Na białych polach wzory smug  
Ciemnych już odwilż kraje,  
Z rozmokłej płachty błotnych dróg  
Kamienny, siwy sterczy próg,  
A wokół — taje — taje...

Zwija się chmurek białych pęk  
Gdzie lazur błyska czysty,  
Szara tęsknota — blady lęk  
Ścisła mi serce... to nie dźwięk,  
To wichru dzikie świsty...

Przedemną droga, — kilka staj...  
Ja idę wciąż wytrwale  
Przez cichy — szary — smutny kraj...

Kościółek tam — gdzie lasu skraj...  
A brzmia w nim: „Gorzkie Żale“...

Brzmia: „Gorzkie Żale“... W myśli dnie  
Przeszłość zawodzi płaczem...

Wszystko minęło — jak we śnie...  
Pocóż wspominać... Myśl się rwie  
Wstecz się ogląda... Za czym?...

Z tych smętnych: „Gorzkich Żali“ nut  
Pokutnym tchnie popiołem...

U modrzewiowych stoję wrót  
Kościółka... Wiosny wróci cud  
Nad krajem — miastem — siołem...

BOŻYMIR.



## LECĄ KU MNIE!!

---

Lecą ku mnie w bezbrzeżnej światłości,  
Lecą ku mnie w księżycową noc,  
Z chrzęstem zbroić dalekiej przeszłości,  
W orlej stawy, bezbrzeżnej światłości,  
Lecą ku mnie w księżycową noc!

Lecą, lecą pędzone w przestrzeni  
Tumanami złoto-krwawej mgły!!  
Zimnym szlakiem księżycowych promieni  
Lecą ku mnie, rozjęczone w przestrzeni,  
Gorejące, o przyszłości mej sny!!

WANDA KARCZEWSKA.





**N**a starych polskich mapach dzisiejsza ziemia Mińska, a ściślej biorąc dzisiejsza Słuczyczyna — zwana jest Rusią Czarną. Dlaczego Czarną? — niewiadomo. Kraj to raczej o barwie wybitnie szarej. Szare są wioski o chatkach z nieciosanych bierwionów świerkowych lub sosnowych, niekniętych farbą ani wapnem; szare siermięgi męzkie, szare koszule z grubego płótna i samodziiałowe spodnice kobiet i podniebem zbyt często szarem, szare rozłogi w bezkresną dal idące, tchnące taką tęsknicą, że

znieść ją może jedynie człowiek tam urodzony. Tak ją nawet ukochać potrafi i wczuć się w nią i nią przepoić.

Tęsknotą śmiertelną, a nieświadomą siebie, jakąś skargą przeciąganą bez końca a rzucaną w bezkresną przestrzeń, jest pieśń tamtejsza. Niema bardziej żałośniejszej. Lecz tylko melodia jest taką. Do tej nuty beznadziejnie tęsknej dorabiają się słowa bylejakie, bezmyślne, dziecinne. Aby tylko z piersi przepelnionej uczuciem nieświadomym rzucać w świat szeroki, w rozległą pustkę wołanie tęsknicy. Więc śpiewa się z smętkiem bezdennym pieśń „o kisielu“, o rzepie (rećka).

„Sieju rećku, sieju da i polewaju  
Rośnie rećka wielika, na zimę schowaju“.

I inne równie głębokie.

Śpiewa — rzeczby można — nie człowiek myślący i świadomy, lecz jemu samemu nieznana, w nim utajona, pierwotna, żywotna, dusza tej szarej krainy o horyzontach bezkresnych.

Jak okiem sięgnąć, jak myślą ogarnąć, pola i pola idące w dal, albo łąki wilgotne nad utajoną, bagnistą rzeką rozsiadłe, ciemny pas iglastego lasu na horyzoncie, czasem zgubiony wśród pól brzozy gaj, borowików królestwo. Gdy jest lato, gdy śmieje się nad tym krajobrazem niebo słoneczne, gdy zboża falami barw różnych i mocnych opływają te niezmiernie pola, a łąki grają tęczą jaskrów, smółek, niezapominajek, stokroci, gdy kraj ten słowem kwitnie i gody swe święci, to jest piękny bogactwem i bujnością swego życia roślinnego.

Lecz gdy zgasi go jesień, wypije zeń barwy i pozostawi martwym i wypłowiałym, to wówczas zdaje się, że beznadziejność ciemnymi skrzydły nad nim zawisła, by go okryć szarym swym cieniem. I nie dziw, że przygnębienie, obojętność, lenistwo jest ludu tamtejszego cechą, że ubiera się szaro i szare stawia domostwa i szare krzyże na rozstajach dróg.

To prawo przystosowania.

A jednak ten lud ma w dziejach swoich chwile wprost eposowe. Lecz bohaterstwo jego nie wybuchło nigdy płomieniem lub krzykiem bijącym w niebiosa; bywało zawsze ciche i szare także

że; ale jak opoka mocna, niezwalczona. — To bohaterstwo wytrwania.

Jedną z najpiękniejszych kart w dziejach kraju, prawdziwie heroiczną epopeją jest zbyt mało ogółowi znana historia Niedźwiedzicy, wioski w Słuckim powiecie. Drewniany, ciekawej struktury kościółek w roku 1645 postawiony, a przez

lat dzie-  
wien-  
ście  
od



Typy ludowe.



Typy ludowe z Sluczyzny.

roku 1886 do 1905) broniony niezłomnymi sercami i ofiarną krwią całego pokolenia, dziś już nie istnieje. Gdy go wreszcie zwrócono, był już zbyt zniszczony, by mógł służyć jako świątynia. Lecz parafianie, pomimo ubóstwa i zrujnowania strasznych przejściami, we dwa lata dźwignęli nowy murywany kościół, noszący na froncie wielki napis: Gloria Dei!

Południowa część Czarnej Rusi nosi już całkiem odrębne, charakterystyczne cechy: zaczyna się już tu Polesie, jedna z najbardziej oryginalnych i nie-



Typy ludowe z okolic Kopyla.

zwykłych krain jakie mamy. Tam już nawet pól niema, tylko łąki bagniste bez końca i kresu. Drogę tworzą drewniane kłody, rodzaj ruchomego pomostu na błotach, o ile jest droga. Wogóle tu kończy się wszelki ślad cywilizacji a po części i ślad ludzkiej pracy. Do wiosek rzadko rozsiadłych nad korytem rzek lub na suchem, wynioślejszym miejscu, o mil kilkanaście nieraz odległych od najbliższego miasteczka i sklepu, ma odwagę dotrzeć dwa razy do roku jedynie żyd kramarz, który wzmian za nici, igły, sól, zabiera produkty tej wydzie-



Dwór w Czyżewiczach.



Starożytny dworek w Toczewiczach w Nowogródkiem.



Nowy kościół w Niedzwiedzicy poświęcony w r. 1908.



Kapliczka w polu.

gnistych, zarosłych lasem szuwarów, trzciny i dzikiej mięty; zakłada „bucze“ na ryby, łowi pijawki na sprzedaż, „winny“ (piskorze); rzeka go żywi. O ile ma strzelbę, co bywa rzadko, to strzela niezdarnie do całych chmar dzikich kaczek i cyranek.

dziczonej ziemi w postaci grzybów, żórawin, skórek różnych, suszonych i na patyk nawleczonych rybek i t. p. Poza tem domowy przemysł zaspakaja niewybredne potrzeby. Najglówniejszym materialem wywozowym i tem samem bogactwem bodaj jedynem—jest siano i to oczywiście w lichym, błotnym gatunku. Włóścianie z okolic, mniej w siano zasobnych, dzierżawią poleskie łąki, przyjeżdżają w czerwcu, aby je skosić i wysuszyć z krwawym trudem, bo najczęściej siano trzeba przewozić w łódkach lub na plecach własnych na miejsce suchsze by tam złożyć stóg.

Gdy zima skuje całą błot powierzchnię, wówczas na Polesie ciągną całe karawany sanek po owe stogi. Wtenczas niedostępna kraina staje otworem dla przybysza obcego; wtedy i Poleszuk na zamarzłych błotach zbiera swe kwaśne, purpurowe jak krople krwi żórawiny i wiezie je na sprzedaż w drewnianych „kaduszkach“ swojego wyrobu.

Latem Poleszuk żyje na wodzie w swej „duszahubce“ (łódce prymitywnie wydrążonej w pniu drzewa). Pływa po swej rozlanej rzece o brzegach ba-



Kościół w Ciumkowiczach odnowiony według planu art. mal. Bruzdowicza.



Grzybobranie.

Fauna tu wogóle bogata i osobliwa, w przeciwieństwie do flory istny raj dla myśliwego. Nie mówiąc już o królewskim łosiu, który jak wspaniały cień mknie lekko po powierzchni mszarów i błot i o niedźwiedziach, kryjących się w większych lasach, wśród ptaków są tu takie osobliwości jak: czarny bocian, wspaniały ze swem czarnem upierzeniem i śnieżną piersią. Są i dzikie łabędzie, szare i białe i moc zórawi. W pogodne dni wrześnie z pod zamglonego błękitu nieba nieustannie płynie ich krzyk pożegnalny, przejmujący do głębi tęsknotą, tak przedziwnie szarmonizowany z duszą krajobrazu i jesiennej przyrody. Śpiewne ich korowody, zagubione w błękitach, rwą za sobą myśli i dusze w dal... w dal... i wzwyż...

Strój kobiet poleskich w okolicy Stucka uderza niespodzianą nutą jaskrawą i pewnym zabarwieniem wschodniem. Przedewszystkiem ubierają głowy w rodzaj zawojów czy turbanów. Służy do tego specjalna obręcz z leszczyny, a na nią upina się wzorzystą, ciężką wełnianą chustę z długimi

frendzlami, puszczone z tyłu. Takie turbany noszą nawet małe dziewczynki; nie zdejmują się one nawet latem w upał, pomimo że ciężar to nielada. Mężatki noszą tak zwane „namitki“ z cienkiego płótna, haftowanego wzorzystością na końcach; owijają tem głowy w bardzo misterny i skomplikowany sposób, zakrywając szczelnie włosy i czoło, a długie haftowane końce odzrucając na plecy. Ze zwojów białego płótna wdzięcznie wychyla się hoża, uśmiechnięta twarz.

Stroju tego dopełnia krótka samodzielowa spódnica, tkana w barwne poprzeczne pasy, koszula haftowana suto na ramionach i rękawach oraz czerwony gorset oryginalnego kroju z długą baskiną, wycinaną w zęby.

Tak ubrana kobieta, zwykle silna, zwinna, pewna i stanowcza w swych ruchach jak prawdziwe dziecko natury, o spojrzeniu nieufnem, zaciekawia pewną cechą dzikości i pierwotności, coraz już rzadziej wśród ludu spotykaną.

Cechy te oraz oryginalność stroju zanikają w miarę, jak się zbliżamy ku zachodniej stronie Sluczczyzny, gdzie w pobliżu wielkiej kolejowej linii, piękny Nieśwież radziwiłowski wznosi swe białe mury nad szeregiem stawów. Głównie też charakter poleski krajobrazu, przechodząc w malowniczą Nowogrodzką ziemię, opromienioną blaskiem największego z polskich gieniuszów.

M. DOMAŃSKA.



Ogólny widok Nieświeżycy.

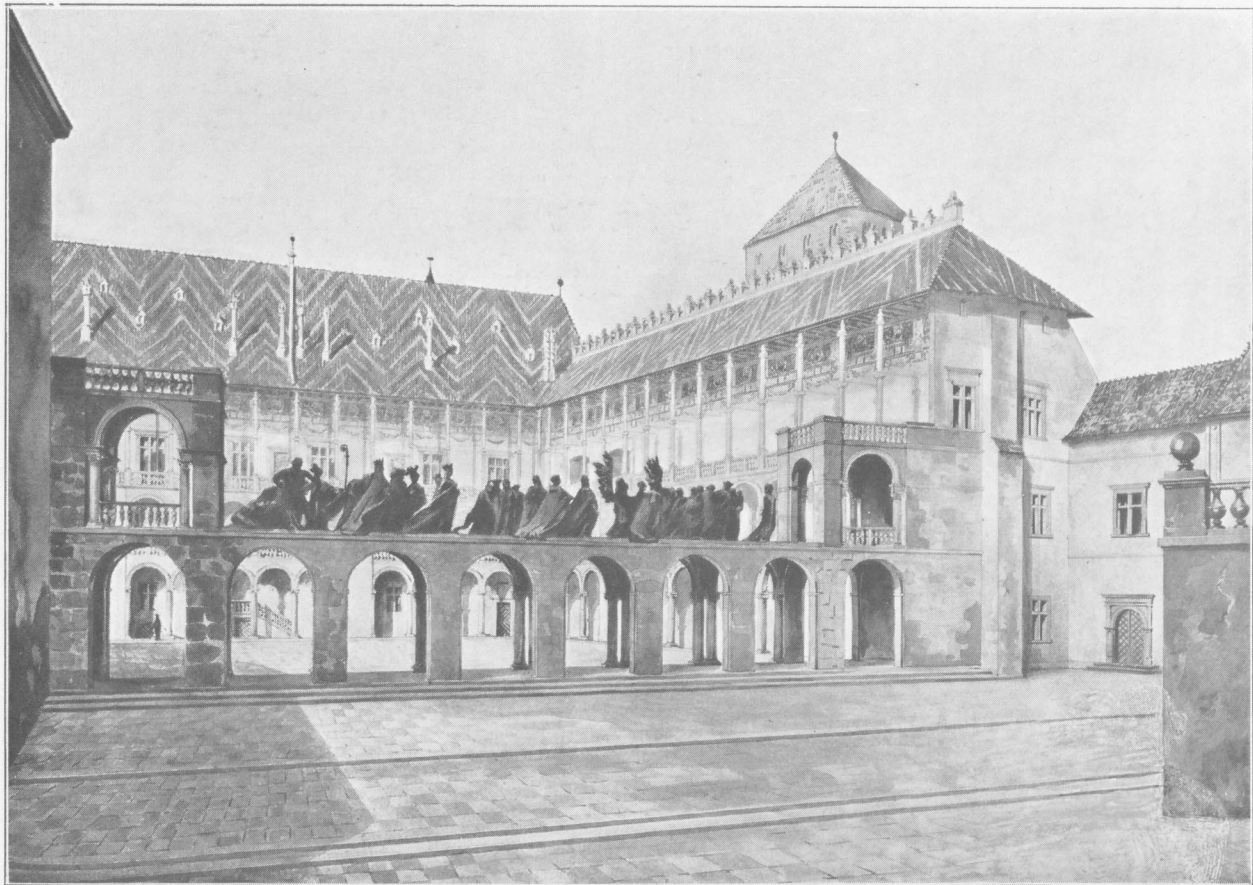


# POCHÓD NA WAWEL

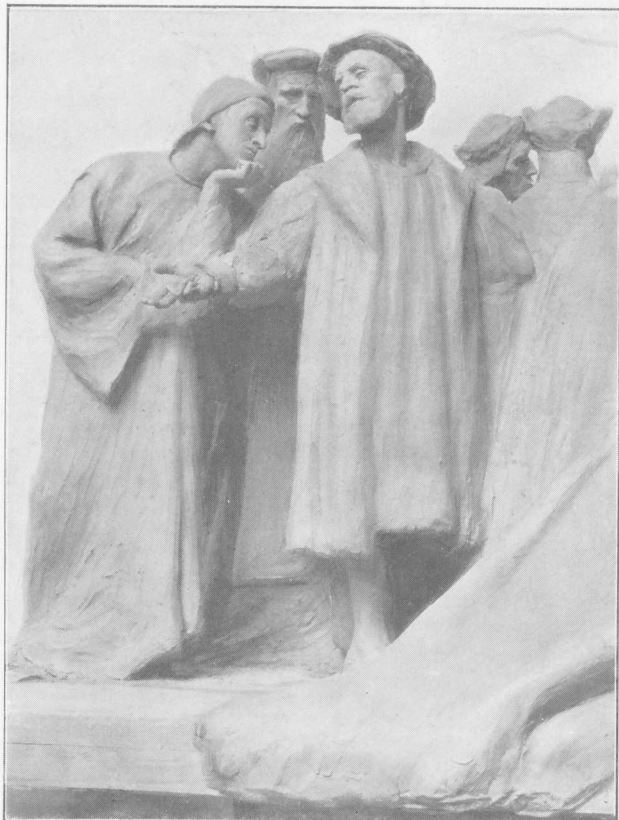
(EPOKOWE DZIEŁO WACŁAWA SZYMANOWSKIEGO).



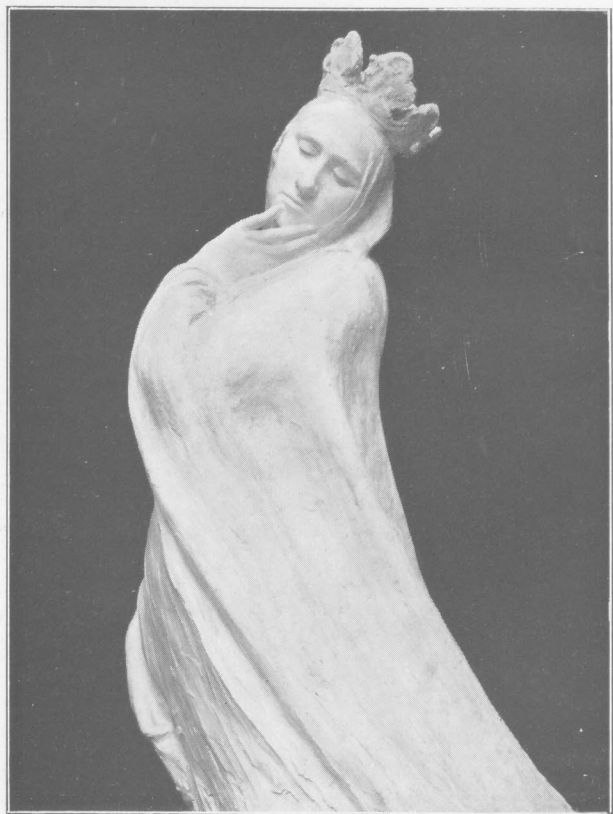
Husarja Batorego.



Ogólny widok „Pochoou” w projektowanym miejscu.



Humanieści.



Królowa Jadwiga.



Humaniści.

Zygmunt Stary.

Zygmunt August z Barbarą.



Fragment I części: Lud, Bolesław Chrobry, Św. Stanisław, Kmiotek, Jagiełło i Jadwiga.



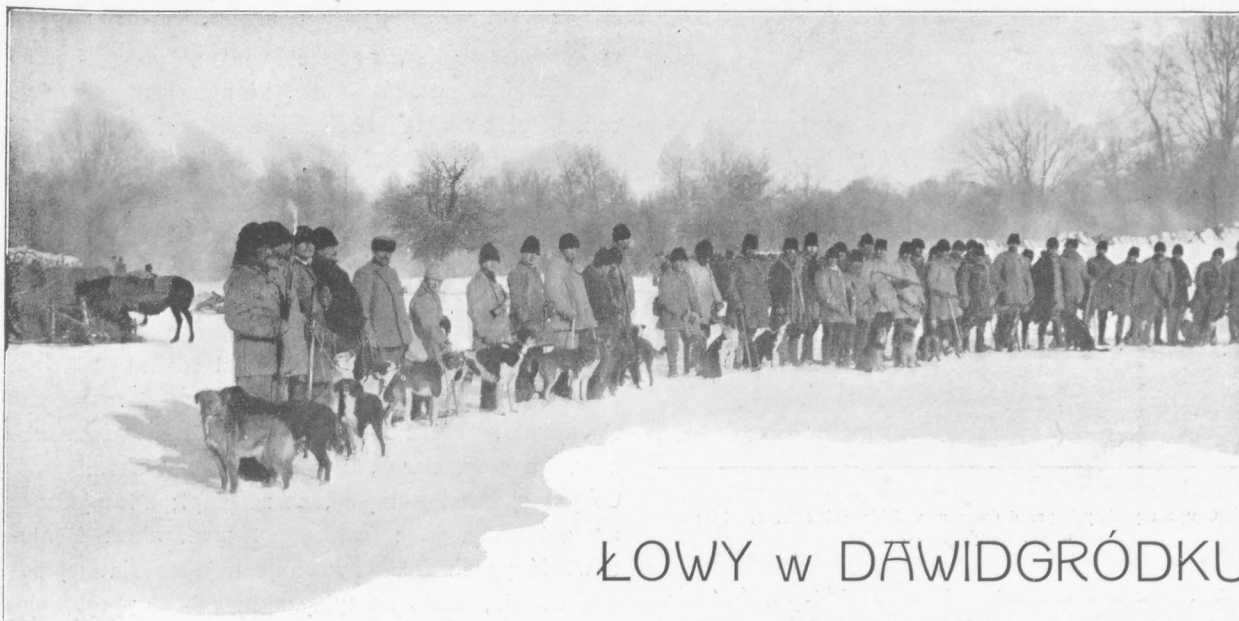
Jadwiga i Jagiełło.

Rycerstwo.

Św. Stanisław.



Fragment II części: Zygmunt i Barbara, Zygmunt Stary, Bona, Humanieści.



## ŁOWY W DAWIDGRÓDKU.

**W** ordynacji Dawidgródzkiej ks. Stanisława Radziwiłła odbyło się polowanie, przypominające sławne łowy z czasów księcia „Panie Kochanku” — od dnia 12 do 17 b. m., przy udziale 10-ciu myśliwych: Tomasza hr. Zamoyskiego, Zdzisława ks. Lubomirskiego, Janusza ks. Radziwiłła, Macieja ks. Radziwiłła, Władysława hr. Zamoyskiego, Adama hr. Zamoyskiego, Juljusza hr. Tarnowskiego, Zdzisława hr. Tarnowskiego, Huberta ks. Lubomirskiego i samego ordynata Stanisława ks. Radziwiłła.

W ciągu 5-ciodniowych łowów zabito 18 odyńców, 48 loch, 35 wyciuków, 49 warchlaków, 3 wilki, 10 rogaczy i 2 jarzabki — ogółem 165 sztuk.

W dzień 1-szy był brany ostęp „Berestki”, który o tyle dla myśliwych był miły, że znajdowało się w nim 4 wilki, z których 3 zabito a jeden ranny

uszedł. Rezultat, dzięki wilkom, które wypłoszyły dziki, był nie osobiwy — zabito tego dnia 16 sztuk.

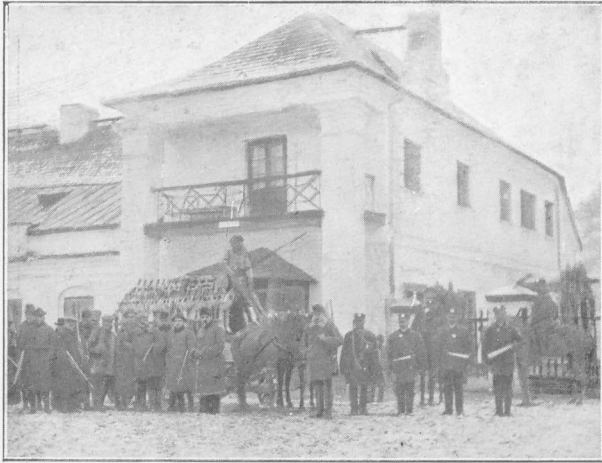
Dnia 3-go brano ostęp „Bość”, puszczone całą psiarnię, która wszystkie dziki przyprowadzała do stanowisk, zabito 33 sztuki. Dnia tego niebrakło niespodzianek, bo po skończeniu polowania wyskoczył z tyłu dzik między myśliwych ale powalony został dwoma kulami przez dyrektora lasów J. Kolskiego.

W ostępie „Czerwiorcze” przy 10 zajętych stanowiskach zabito 51 sztuk dzików, rezultat jakiego niepamiętają starzy ludzie w ordynacji. Królem tak wspaniałych łowów został Tomasz hr. Zamoyski, zabiwszy 27 dzików w czem 4 duże odyńce.

Polowanie prowadził nadleśny p. Czesław Chanecki pod kierunkiem dyrektora lasów p. L. Kolskiego przy pomocy 60 straży i 700 ludzi naganki.



Z łowów w Dawidgródku (fot. zakł. fot. Sarjusz-Wolskiego).



Grupa myśliwych przed dworem w Oblasach (Kozienickie)  
u pp. Godyckich-Ćwirko.

## Ze wspomnień myśliwskich.

### Niedźwiedzie konkury.

**W** częstych moich rozjazdach, w ogromnych Poleskich ongi lasach, byłem często zmuszony przebywać po dni kilka pod gołym niebem. W jednej z takich wycieczek zdarzyła mi się bardzo rzadka i dziwna przygoda.

Wówczas, warzono na Polesiu smołę, w prostych piecach, t. j. wykopanych ad hoc jamach, o pewnym zewnętrznym wywyższeniu, w których układano kostry (stosy) łuczyny\*); — dwa tygodnie utrzymywano je na wolnym ogniu, by przetworzyć na smołę. Dużo przy tem było pracy, trudu i roboty; dniem i nocą baczność nieprzerwana, gdyż najmniejsze niedopatrzenie mogło wywołać pożar tego tak palnego materiału. Musiałem więc całymi tygodniami w lasach przebywać, by gorące po rozległym obszarze, piece, dobry wynik dały. W takiej jednej wędrówce, którą zawsze w towarzystwie dwóch leśników (strzelców) odbywałem, znaleźliśmy się ku wieczorowi w przestronnym borze, uwieńczonym i okolonym bartniami sosnami, zrzadka od siebie stojącymi.

Słońce czerwcowe chyliło się ku zachodowi, skwar dzienny zmalał, i miły chłodek owiał całą naturę, do pieca mieliśmy spory kawał, a że smołę z takiego, dla zapobieżenia burzenia się onej, tylko po północy do beczek ściągano, postanowiłem strudzony jazdą skwarne go dnia, zatrzymać się do późnego wieczora, by cokolwiek odpocząć i koniom dać folgę. Kazałem więc jednemu strzelcowi od-

jechać z końmi do dość odległej dąbrowy, obfitej w pożywną paszę, i wrócić do nas po wschodzie księżyca. Sami zaś we dwójkę zostaliśmy na miejscu. Był to ostęp bezludny i głuchy, bardzo głęboko w puszczy położony. Posiliwszy się cokolwiek, wiedząc że nas czeka rzetelna robota w nocy, wyciągnęliśmy się wygodnie na barwistym i miękkim wrzosie. Czym zdrzemnął się, tego nie pamiętam! Dość że uczułem nagle lekkie trącenie, otwieram oczy i widzę mego towarzysza, z palcem na ustach, który oczami coś mi pokazuje. Zrozumiałem, więc nie poruszając się, rozglądam się dokoła. I cóż widzę? — o jakie dwieście kroków, na czworakach, sunie niedźwiedzisko, wprost do jednej barci. — myślę, co za głupi; miód jeszcze nie zniesiony, więc mało się pożywi, ale mój niedźwiedź podchodzi, obwąchuje najskrupulatniej sosnę dokoła, staje na tylnych łapach, wypręża się, i wyciągnawszy przednią łapę, silnie o sosnę uderza. Potem podniósł łebko, popatrzył w górę, pomruczał, raz jeszcze oglądnięt, i spuściwszy się, na czworaku, kołysząc się i ciągle mrużąc, wolno zawrócił i zniknął w lesie. Byłem jak na fantastycznym przedstawieniu, nie mogąc zrozumieć co się dzieje. Obróciłem się więc do mego towarzysza, chcąc go pytać; takowy jednak znakiem ręki nakazywał milczenie. Leżałem więc cierpliwie oczekując dalszego ciągu tego niezwykłego widowiska. W jaką dobrą godzinę dochodzi nas głuchy pomruk, nieswojsko nam się trochę zrobiło, ale leżymy, tak przycupnięci do ziemi, że trudno i biegłemu oku nas dopatrzeć, ściskając tylko dwururki przy sobie.

Wolnym krokiem kudłaty się zbliża, wietrząc dokoła; widocznie nic podejrzanego nie zwęszyszywszy, gdyż w naszą stronę wiatr ciągnął,



Grupa myśliwych w Gradowie u pp. Zielińskich  
(fot. amat. p. A. Janaszówny).

\*) Łuczyna, czyli łuczyno, szczyty z pni sosnowych nasiąknięte żywicą i smołowcem. Dopiero po 3—4 latach po zrąbaniu sosny zadne są do użytku.



Z łowów w Nosowiczach (Białoruś) u pp. Karolostwa Faszerów.



Drużyna myśliwska przed pałacem w Bonikowie (własność państwa Alfredów Chłapowskich) dn. 12/XII 1911 r. Ubito w dwanaście strzelb jednego dnia 2137 sztuk, od lewej strony do prawej: Rząd I. 1) Włodzimierz hr. Skórczewski, 2) Max hr. Mielżyński, 3) z hr. Wodzickich Adamowa hr. Starzeńska, 4) Michał hr. Komorowski, 5) Adam hr. Żółtowski. Rząd II. 1) pan Tomisław Jędrzejowicz, 2) Krzysztof hr. Mielżyński, 3) Helena hrabianka Mielżyńska, 4) Adam hr. Starzeński, 5) pan Maurycy Chłapowski. Rząd III. 1) Max hr. Potworowski, 2) pan Alfred Chłapowski, 3) z baronów Brunickich pani Maurycowa Chłapowska. Rząd IV. 1) Alexander ks. Drucki-Lubecki, 2) z hr. Mielżyńskich pani Alfredowa Chłapowska, 3) Olgierd ks. Czartoryski, 4) Jan hr. Żółtowski, 5) Xawery ks. Drucki-Lubecki.



Pieski (z teki „Wsi Ilustrowanej“).

prosto dąży do tej samej sosny. Czegóż on tu znowu wraca, czyż wróciła mu odwaga wdrapania się na nią? — Podszedł, obwąchał ślady bardzo dokładnie, pomruczał i stanął na tylnych łapach, wyprężywszy się, zaczął bardzo akuratanie spoglądać w górę i tam gdzie poprzednik jego stanął, silnie uderzył prawą łapą o sosnę. Tym razem jednak, uważniej i dłużej się przypatrywał, rozważał i kombinował, widocznie wynik badania musiał dlań być pomyślnym, gdyż wesoło zaskomlał; szybko w dół się spuścił, podniósł tylną łapę i pozostawiając po sobie ślad, rażnym chodem pomknął przed siebie. Gdy zniknął nam z oczu, nie mogąc dłużej wytrzymać, pytam półgłosem mego strzelca, coby to miało znaczyć. „Teper panyczu, my idem zwitce, aby tretioho ne pobaczyty, bo Boh zna je z witki może najty, a jeżeli wozme nas pid witer, płocho z nami bude“. Nie myśląc więc długo, ruszyliśmy z miejsca i szybkim krokiem podążyliśmy ku dąbrowie, gdzie konie się pasły. Tam dopiero przy ognisku, czując się bezpiecznymi od nieproszonej gości; objaśnił mi, że trafiliśmy wypad-



Pierwszy łup (fot. amat. p. Lubicz-Wolskiego).

kowo na szlak niedźwiedzi podczas ich ruji. Szczęściem że nas nie wywęszyły, bo byłyby z nami po swojemu się rozprawiły, a wynik takiej utarczki nie zawsze pewny. A że to zwierzę nader zmyślne, nie mający jednak rycerskiego animuszu łosi, kozłów i jeleni, które bojem wywalczają prawo miłości, idąc za niedźwiedzicą; węższą miejsca, gdzie się ona zatrzyma pod sosną, opatruje takowe i tam próbuje swą siłę w ten sposób, że stanąwszy na tylnych łapach, przednią uderza silnie w sosnę, robiąc pazurami znak widoczny.

Jeżeli nie dosięgnie uderzenia swego poprzednika, porzuca miłosną wędrówkę, i tylko silnie pomrukując wraca do swego ostępu, gdy zaś się przekona że wzrostem go przewyższa; idzie dalej śmiało tropem wiedząc, że przeciwnik mu w szranki nie stanie.

I właśnie dziwnym zbiegiem okoliczności udało mi się być nieproszo- nym świadkiem, tych niedźwiedzi- ch kon- kurów.

GABRJEŁ  
HR. PRUSZYŃSKI.





Wjazd.

**W**rześnia! Komuż nieznana ta nazwa? Martyrologja maluczkich rozniosła ją szeroko po Europie całej i za oceany i przypomniała światu, że żyjemy przecież.

Wstrząsnęła całą Polską, wraz z epilogiem procesów, wytoczonych matkom, potem nawet komitetowi, który się zaopiekował ofiarami tragedji. Pamiętne mi są dni, gdy wraz z kolegą Dziembowskim i zacnym niemcem, wolnomysłnym posłem do parlamentu, Lenzmannem, broniliśmy w tym

ostatnim procesie; przesuwał się wtedy przed oczyma naszymi cały ten obraz żałoby narodowej, smętnej, łzawej i cichej. Osiągnęliśmy tryumf uwolnienia oskarżonych, a jednak wracaliśmy z sali sądowej wraz z tymi: ś. p. Józefem Kościelskim, dzisiejszymi posłami ks. Stychlem i Felicjanem Niegolewskim i innymi z żalem i goryczą w sercu.

Z innych wspomnień łączy się z imieniem Wrześni krwawa walka w dniach 48 roku, wijąca



Pałac.



1. Park. Aleja z wiązów.—2. Bydło oldenburskie.—3. Park, Wierzba o 19-stu odnogach.—4. Na folwarku.

w jeden wieniec heroicznych potyczek miana trzech miasteczek wielkopolskich: Września, Książ, Miłosław.

Nazwa Wrześni pochodzi pono od rzeczułki Wrześnicy, nad którą leży; jest miastem powiatowym, na wschód od Poznania, na południe od Gniezna, niedaleko granicy. Miasteczko liczy około siedmiu tysięcy mieszkańców, robi jednak wrażenie większego, schludnymi domami, składami, wcale okazałymi; ma nowoczesne urządzenia, jako to oświetlenie elektryczne.

Staroświecka Fara odnowioną została staraniem późniejszego prymasa Stablewskiego, który tu był długie lata proboszczem.

Miasto jest dosyć handlowe i przemysłowe. Jest we Wrześni jedna z większych cukrowni w Poznańskim. Ludność przeważnie polska. Tak samo ludność okoliczna, z wyjątkiem napływowych kolonistów; własność ziemską jednakże poważnie zagrożoną tak, że bywając w tamtych stronach w gościnnym domu pp. Józefostwa Żychlińskich w Gorazdowie, prawie że od samej Wrześni jechałem majątkami niemieckimi.

Tem większe uznanie tym, którzy, częstokroć w trudnych warunkach, wytrwali na posterunku narodowym.

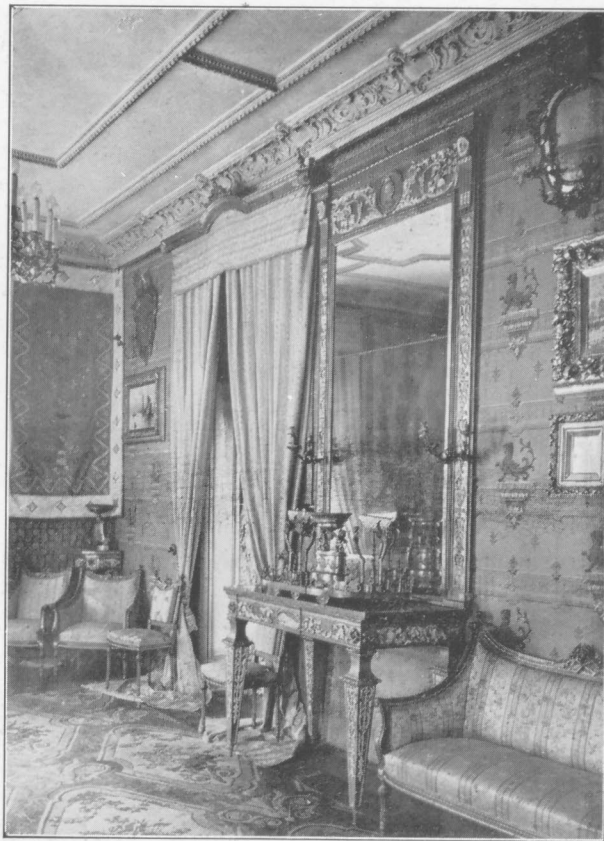
Majątek Września, przylegający tuż do miasta, jest dawną siedzibą starej poznańskiej rodziny Łodzia-Ponińskich. W pierwszym rzędzie rodów wielkopolskich Ponińscy pamiętali o tem, że pierwszym obowiązkiem każdego Polaka jest płacić za winy przeszłości ofiarą krwi i mienia, gdy tego zajdzie potrzeba. W roku 1830 ojciec i syn znaleźli się wśród tych wielkopolan, którzy, nie oglądając się na grożącą konfiskatę majątkową, przedarli się do Warszawy. Pierwszy z nich wyszedł z rewolucji pułkownikiem, obydwaj ozdobieni krzyżem, a do tej nagrody dołożył rząd pruski—kontrybucję i fortecę.

Obecnie Września jest własnością hr. Stanisława i pani Marji z Mielżyńskich, której uprzejmości zawdzięczamy widoki i szczegóły, dotyczące tej pięknej rezydencji wielkopolskiej.

L. ROMOCKI.



Fumoir.



Salon.

WRZEŚNIA.



Gabinet makatowy.



Biblioteka.

WRZEŚNIA.

## Z ZAKAMARKÓW WOŁYNIA.

Pracując od lat paru w rolnictwie na Wołyniu, ucząc się i obserwując pilnie, pragnę rzucić garść wrażeń, wyssanych z życia tutejszego ludu, wraz z przeszłością danej miejscowości, która choć wstawiona niczem nie była, jednak jak wszystko, co niegdyś istniało zasługuje na wspomnienie, które może rzucić garść światła na warunki życia miejscowej ludności i związanej z nią miejscowości Niewirkowa.

W Rówieńskim powiecie, na szerokim gościńcu wołyńskim, biegnącym z Międzyrzecza do miasteczka Berezna, w odległości 44 wiorst od Równego rozciągnęła się długim i szerokim pasem majątność Małyńskich, wieś Niewirków, licząca 2 tysiące dusz. Dominialne folwarki, choć sąsiadują prawie ze sobą, lecz posiadają glebę różnorodną, a więc: szare glinki lubelskie przeplata czarnoziem przepuszczalny, nie brak też i ciężkich, zlewnych, zakwaszonych pól, które obecnie są drenowane. Ogólną jednak cechą ich jest wdzięczność za pracę i staranność rolnika. Rolnictwo twórcze na Wołyniu ogólnie biorąc, jest jeszcze w kolebce. Ten intensywny rolnik, który daje ziemi i zbiera z niej plony obfite, pracą podnosząc jej kulturę i poważnie ustalając z niej zyski nie istnieje, podobnie jak swa, krwawa mozolna praca gospodarza, który dopytując się w Poznańskim lub w Królestwie o opinię ziemi — wyraża pracę swą w zapytaniu — jak jest kultura ziemi?

Na Wołyniu dopytują się o dobrą ziemię, uposażoną bogato przez naturę, a przez ludzi jeszcze nie wycałowaną.

Na pierwszy rzut oka zdawałoby się, iż Wołyń, Ukraina i Podole, to krainy stworzone dla rozwoju, i rolnictwa. Ziemie dobre, kapitały duże, robocizna tania, podatki względnie mniejsze, jak w Królestwie.

Wielkie przestrzenie w rękach ludzi prawdziwie bogatych, przy odpowiednim nakładzie, kierunku i zainteresowaniu się stanem rolnym — mogą stać się siedliskami wielkiej kultury rolnej, a miejscem nauki praktycznej, prowadzonej zgodnie z prądem nauki dla młodych ludzi. A jednak kultura rolna bardzo nieznacznie podnosi się. Zainteresowanie się towarzystwami rolniczymi bardzo małe. Rezul-

taty oczywiście bardzo smutne. Przed paru miesiącami upadł Syndykat rolniczy w Równem, który walcząc małymi środkami, z wielką konkurencją miejscowych firm handlowych, wobec braku poparcia materialnego i moralnego ze strony samego społeczeństwa ziemiańskiego, został zamknięty, ku uciesze zagorzałych wrogów naszych towarzystw spółdzielczych.

A bogaci właściciele, wielcy obszernicy i ziemianie, którzy mogliby stać na czele naszego ruchu umysłowego, którzy mogliby nadać ton i charakter okolicy i niejedną konieczną potrzebę społeczną zaspokoić — spoczywają niby po trudach i wysiłkach wielkich, pogrążeni w apatii ku sprawom wielkiej wagi, zapominając, że upadek jedynej polskiej placówki na obczyźnie, spowodowany brakiem samopoczucia obowiązku obywatelskiego jest objawem świadczącym o zaniku sił twórczych ducha naszego.

Dobra te, niegdyś zwane Rokrzycką Wolą były w roku 1698 własnością małżonków Rokrzyckich podstolich Trockich i fundatorów drewnianego kościółka i klasztoru ojców Dominikanów. Klasztor był przez założycieli obdarzony dwoma włókami ziemi i łąkami, przynoszącymi do 100 wozów rocznie siana. Zakonników stałych było 3, z których jeden był przeorem, drugi kaznodzieją, trzeci profesorem klasztornej szkoły. W roku 1808 Niewirków był własnością Jana Steckiego, chorążego wielkokoronnego, który kościółek i klasztor wzmocnił murami i gruntownie odrestaurował; obrócony na wschód i wsparty na czterech kolumnach z krzyżykiem na froncie —



Stary pomnik na cmentarzu w Niewirkowie.

takim się i do dzisiaj przedstawia. Przy klasztorze z polecenia Kacpra Jeniszowskiego, biskupa Łuckiego i na mocy komisji edukacyjnej założona była szkoła początkowa, istniała też biblioteka zawierająca tysiąc dzieł. Na utrzymanie szkoły klasztornej od roku 1803łożył Jan Stecki, wypłacając rocznie sumę 150 złotych i 38 korcy zboża. Kiedy w roku 1809 wielki pożar zniszczył doszczętnie miasteczko Międzyrzec, odległe od Niewirkowa o trzy wiorsty wraz z kollegium ks. Pijarów, wspierał i utrzymywał lud nieszczęśliwy, a wydawszy ze swego skarbu 10,000 zł. polskich, dźwignął kollegium z ruin tak,



Wieś Niewirków (fot. amat. p. St. Niemiryca).

iz mogło Zgromadzenie tegoż roku od 1 listopada szkoły rozpocząć. Biblioteka tak piękna i wielka spłonęła. Łaskawy ten dziedzic zmarł 24 maja 1814 roku, przeżywszy lat 77. Pochowany został w podziemiach klasztoru Niewirkowskiego.

Od roku 1819 dobra Niewirkowskie przeszły drogą wiana ślubnego w ręce ks. Józefa Lubomirskiego, klasztor zaś w dalszym ciągu pobierał 150 złotych, a za zmianę dziedzica żyta korcy 30 otrzymał. W roku 1832 nastąpiła kasacja klasztoru — wszystkie sumy z procentami przeszły pod ministerjum spraw wewnętrznych, a grunta klasztorne przeszły pod zarząd skarbowych majątków. Kościół zaś, pomieszczono w klasie IV i naznaczono proboszczowi tegoż, pensji rocznej rb. 275.

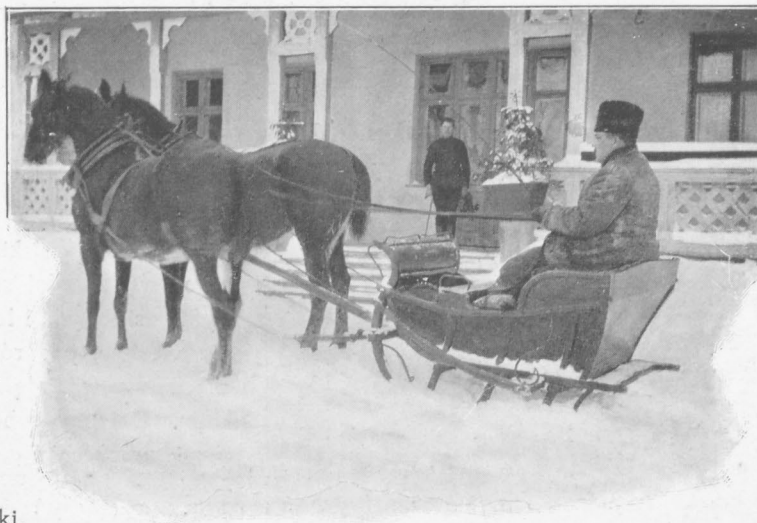
Od Lubomirskich Niewirków stało się własnością rodziny Małyńskich — której główna siedziba głębiej na Polesie jest wysunięta, miasteczko Bereźno wraz z 50 tysiącami dziesięcin lasu, który własna kolejka przecina, służąca do wywozu materiału, wyrabianego w własnym tartaku, z kluczami Niewirkowsko-Zabarskim i Orzechowskim na Podolu; stanowi piękną fortunę z rezydencją w Zurnem. Obecny dziedzic tych dóbr p. Emanuel Małyński, po powrocie z zagranicy pierwszy na Wołyniu

dokonał pięknych wzlotów na aeroplanie systemu Farmana, którym w oryginalny dzisiaj jeszcze sposób objeżdżał swe folwarki.

Przejrzyjmy teraz naturalnych mieszkańców tych stron wraz z ich życiem i z ich tradycją.

Życie ludu roboczego — życie ich społeczne występuje na widownię naszą jako nienaruszalny prawie, a święty swą przeszłością „głos gromady“. I czy to będą decyzje, dotyczące się zmiennych pól pastwiskowych, czy wybory na starszynę lub starostę, czy wreszcie zaciągnięcie rady w zawyłych dla jednostek z włościan, ciężkich decydujących chwilach w życiu ich indywidualnem — wszystkie te potrzeby życia decyduje „głos gromady“.

Jednostronność zaś uchwał gromady i występowanie jej zupełnie nieraz błędne są przyczyną naturalną, bo już sama przez się gromada jako środek w orjentowaniu się życiowem włościan jest zaszczupła w swych pojęciach, by w niej rozum mógł brać górę. Jednostajność myśli i ich postępowania nic się nie zmieniły od wieków, a system mało wymagający od życia i przedstawiania na czem mają, doskonale ich charakteryzuje jako umysły przybite — przyćmione i znękałe ciężką przeszłością. Rysy charakteru i usposobienia miej-



Przejażdżka (fot. amat. p. St. Niemiryca).



Przed dworem (fot. amat. p. St. Niemiryca).



Kościół w Niewirkowie (fot. amat. p. St. Niemiryca).

scowego Małorusina są następujące — a więc leniwi i ociężali do pracy folwarcznej czy też na własnym zagonie; choć pozornie biedni na zarobienie grosza nie chciwi i o stałe zajęcie nie dbają. Umysłowo bardzo słabo rozwinięci, zakuci w głuchą apatię, żyjąc bez żadnego doczesnego ideału, i pozbawieni jedyne go kierownika ludu prostego — wiary niezłomnej, która wszędzie jest źródłem mocy, tężyzny ducha, w narodzie, tutaj pozbawiona swego majestatu mocy twórczej wpływu na lud, pozostała obróconą na służbę innym ideałom...

A lud pozbawiony kierunku oświaty i wpływów kulturalnych, zachowując wszelkie barbarzyńskie zwyczaje i tradycje jest trawiony namiętnością alkoholu i rozpusty jako środka na głód, chłód, smutek czy wesele. Ubiór ich niczem się nie różni od stanu usposobienia. Nic z barwy, nic kolorowego. Latem boso w koszulinie i spodniach białych samodziałowych, w dnie chmurne szara samodziałowa sukmana wełniana. Zimą na te płótna nakładają kożuchy, wyrobu swojskiego krawca wiejskiego, pobierającego za robotę kożucha rubla i pół oka

wódki. Licznie trzymane owce dostarczają skórek o długiej czarnej i ciepłej wełnie, z których też i czapki zimowe szyją; postoly lykowe dopełniają stroju.

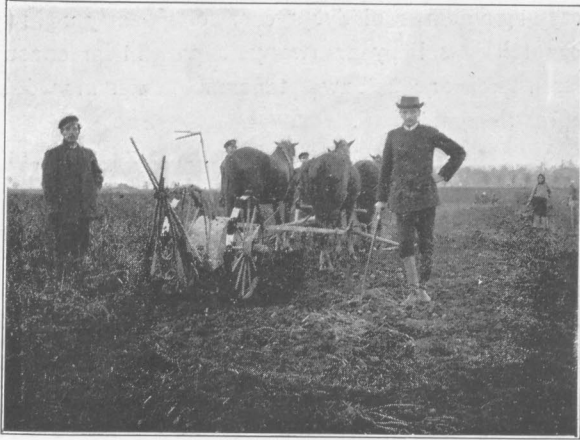
Rano o dziewiątej jadają obiad „gotowany“, składający się z barszczu, z kapusty, kaszy jaglanej z masłem lub słoniną i z placków jęczmieniowych świeżych z koniecznie starą słoniną; w południe dojadają, nie schodząc z pola, resztki obiadu, pijąc ten „połudenek“ wodą.

Robotę zaczynają dopiero po obiedzie, to jest po 9 rano, nic więc dziwnego, jeżeli cena pracy dziennej jest niska. Jakość robotnika w części wynagradza masa tegoż, lecz zawsze pozostanie on drogi zważywszy czas zaczęcia przez niego roboty, wykonanie jej oraz umiejętność i sprawność tegoż.

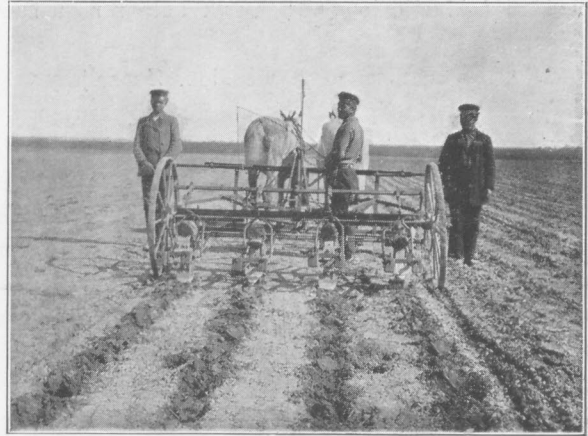
Pozornie biedni, a jednak typ chłop-gospodarka jest tutaj popularniejszy, niż w Królestwie, gdyż prawie każdy pełnoletni włościanin, nawet ze służby dominialnej posiada swą zagrodę, kawał gruntu, na którym utrzymuje parę sztuk koni i bydła. Lecz gospodarz ten nie posiada w swem usposobieniu cech, które wprowadzają pod strzechę zamożność gospodarczą, cech chłop polskiego, którego ideałem na ziemi jest drogą pracy, możliwej oszczędności i zapobiegliwości zostać na starość gospodarzem. Wrodzona oszczędność i „odkładanie do kufierka chłop polskiego jest im obcą; pracy w twardej służbie obawiają się, będąc ociężałymi i leniwymi, chęć zarobku nie istnieje, jak również i masowe wychodźstwo w pogoni za lepszym zarobkiem. Dzienny robotnik sam z własnej chęci zarobienia grosza — nie wzywany do dworu, nie przyjdzie. Dzieje się to dzięki umiejętności zadowolenia swych potrzeb małymi środkami z własnych źródeł. Ogólny dobrobyt u gospodarzy



Dwór Niewirkowski.



Z robót polnych.



Z robót polnych.

na Małej Rusi jest bardzo mały z powodu osobistego zacofania i zaniedbania, oraz z ogólnej szlachowicy pól. Dobrobyt ten i gospodarstwo włóściańskie nie podniesie się póki zcalenie gruntów nie nastąpi, póki właściciel nie zostanie rzeczywistym samodzielnym gospodarzem swego pola nie zaś uchwała „gromady“.

A gdy wpływy kulturalne przenikną lud, a praca, staranność i oszczędność zakwitną na własnym zagonie i inne czasy nastaną pod strzechą gospodarza na Małej Rusi. Dziś chłop ten nic więcej nie potrzebuje, żadnych potrzeb niema, do niczego nie dąży, o polepszeniu własnego bytu nie myśli. Wódka jest jego nagrodą za pracę i trudy życia, na której też używają, w każdej okoliczności mając sklep monopolowy na wsi, z którego miesięcznie po paręset rubli, urzędnicy państwowi zbierają. Szczególniej wielki obrót sklep ten zawdzięcza licznym postom, które tradycyjnie z wielką sumiennością zachowują,

z dłuższych postów wymienię post wielki, advent, Pietrówka, 2 tygodnie Spasówka, 2 tygodnie przed Wniebowzięciem N. M. P. W dniu 6-tym sierpnia jest uroczystość święcenia owoców, których do dnia tego jeść nie było wolno. Wygłodzone żołądki i na-

miętność alkoholu dobijają się usilnie o swe tradycyjne porcje, oddając się im całkowicie. Całonocne śpiewy i zawodzenia dzikie, towarzyszące bójkom roznamiętnionych, świadczą o zakończeniu się postu. A życie duchowe i moralne tych ludzi?

Kto zna życie naturalnych mieszkańców stron

wołyńskich, poleskich z pilnej obserwacji całokształtu jego natury, targnąć się musi na ten upadek już nawet nie duchowy, bo skądby i jaką drogą tu przywędrował i gdzie zamieszkał ten duch narodu, lecz moralny, oparty na prawie Bożym z domów Bożych głoszonych. Komu obce są zabawy ludowe, które wszędzie są poważnym źródłem ludoznawstwa, w których zwykle odruchowe ukazują się dodatnie lub ujemne strony życia i charakteru ludu. Tutaj one popularnie zwą się „wieczorynkami“, na których namiętność i instynkta zwierzęce ukazują się w całym swym tragizmie, odsłaniając boleść, łyzy i niezatarte znamię



Niewidomy lirnik wołyński.

hańby. Żywioł ten ludzki niebezpieczny jest na jutro, a jedyną przyczyną jest fatalne zorganizowanie życia przez czerpanie wzorów z zamierzchłej przeszłości, uswięcając niekulturalność dawnych tradycji i usprawiedliwiając się przed Bogiem sobą

i ludźmi takimi słowami: „Tak buło z rodu i tak bude“.

Ciekawe są ceremonje weselne. Zaczniemy więc od początku kiedy parobczak upatrzwszy sobie dziewczynę „harną“ idzie by się oświadczyć wraz ze swatami i przynależną porcją wódki. Gdy zgoda i porozumienie następuje, przepijają młodzi do siebie na utrwalenie związku przyszłego. W razie gdyby „zaswatana“ chciała złamać słowo, jest obowiązana koszta wódki wrócić starającemu się. Następuje akt ślubny i wesele, które trwać musi trzy dni. W pierwszym dniu w domu rodziców „żonki“. Na noc „żeńich“ wraz ze swatami i drużbami wraca do domu swego, lub swych rodziców, gdzie bawią się przy dźwiękach muzyki, tańcząc, jedząc i pijąc noc całą. Rankiem następuje powrót z muzyką do rodziców „mołodycy“, zabierając ze sobą bułkę pszenną, zwaną „korowajem“, Wręczywszy teściowi rubla, a teściowej „czoboty“ (buty) zasiadają młodzi za stół, starszy dróżba dzieli „korowajem“ zebranych gości młodej po kolei, którzy przystępując do stołu, składają podarki zwykle monetą lub też i w naturze.

Nad wieczorem „żeńich“ po ostatecznym błogosławieństwie teściów zabiera „żonkę“ do swej zagrody, oddarowaną wielkim kufrem na kółkach i 2 obrazami Św. Pańskich. Wesele przenosi się do zagrody męża pozostawiając wszystkich starszych uczestników wesela u rodziców „młodej“. Podjeżdżając pod chatę swego „czelowika“, „żonka“ stara się możliwie szybko wyprządnąć konie, lejce których rzuca na strzechę.

Młodzież z dziewczętami przy muzyce zabawiają się tańcami, suto przepijając i racząc się jadłem, młodzi zaś udają się do komory, skąd wychodzą „uświadomieni“ i oczekiwani przez gości dopytujących się o okazanie dowodów dziewiczej czystości „żonki“, które to wczesnym rankiem zostają przez „żeńicha“ wraz z siostrą „mołodycy“ odwiezione teściom. Uspokojeni lub zmartwieni rodzice, wyjeżdżają uroczyście z „korowajem“, muzyką i swatami do zięcia. Na końcu jedzie zwykle chłop przebrany za „staruchę“, trzymającą sztandar czerwony. Radosny to znak, dowód dziewiczej czystości córki (do czasu zawarcia związku małżeńskiego) z zapamiętanym witany przez gości weselnych. Następuje dzielenie się „korowajem“ między rodziną młodego, wzamian, ta składa podarki, zakończając ceremonje

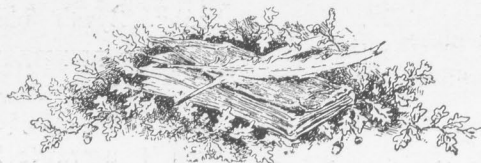
przywiązaniem „mołodycy“ czerwonej szarfy u głowy, pozostali weselnicy czerwonymi pasami przepasują piersi, kończąc zabawę tańcami i piciem wódki, zaprawionej miodem.

W przeciwnym razie, gdy rodzina zabroni „mołodycy“ udekorowania się w stęgi czerwone, znak to poniżenia i moralnie zaniedbanej dziewczyny. Wtenczas teściowie już bez sztandaru i bez muzyki zjeżdżają do zięcia, a wódka niezaprawiona miodem, krąży jednakowem powodzeniem wśród biesiadników.

Tak się odbywają weseliska i takie są ich ceremonje. Nędza moralna wraz z szarą vegetacją życia, pozostawiona na opiece nadmiernie wybujałych przez wieki dzikich pierwotnych instynktów spowodowała opóźnienie postępu tych mas w pochodzie ludzkości. Lecz gdyby zaszczerpić na gruncie tym oświatę! Oświatę wychowawczą, cichą, nieznaną, a jednak systematyczną, łagodnie obejmującą nie tylko umysły lecz serca; oświatę, która umiałaby targnąć trzewiami milionów, zbudzić je bez gorączki nagłego postępu, a najważniejsza nieznanie opanować umysły przez połączenie miłości ludu z miłością czynu dlań. Bo cóż znaczy miłość bez czynu. Trzeba by w tej miłości ludu, i w tej chęci czynu dlań, były dwie dusze. Dusze tych, którzy umieją pracować i cierpieć z ludem i dla ludu i duszę tych, którzy mają miliony za sobą, a gdy połączenie to nastąpi, zwarte siły te, staną się nieśmiertelne i niezwykłe przez zanucenie ludu, pieśni szczęśliwej na ziemi.

Obecnie Niemirkowskie dobra dzierżawi p. Tadeusz Piaszczyński królewski — rodem z ziemi Kujawskiej, pracując od paru lat na Wołyniu, zaprowadza w miejscowych warunkach odpowiednie gospodarstwo, zgodne z duchem postępu i nauki w rolnictwie. Forsując nawozami sztucznymi i łubianami z każdym rokiem podnosi dochód majątku i kulturę ziemi. Utrzymując na swej oborze 100 krów rasy Oldemburskiej, stanowiącej poważną rubrykę dominjalnych dochodów wraz z liczną gromadką jałowizny oraz zimowemi partjami opasów, opiera się na wielkiej plantacji ziemniaków, które stały zbyt znajdują w sąsiedzkiej gorzelni. Niechaj praca jego wydadzie odpowiednie plony wraz z moralnym zadowoleniem i opinią dobrego gospodarza na Wołyniu.

STANISŁAW NIEMIRYCZ.







Kupiec rybny (fot. amat. hr. M. Potockiej).

## BEREK I RYFKA LIEBESFEINDOWIE

Jak w rękę dzielnego wodza garstka wojska większą nieraz potęgę łamie, tak i drobny kapitał w obrotnej dłoni za tysiące starczy.

Kiedy się pobrali Berek z Ryfką i osiedli na wsi, mieli całej gotówki siedemdziesiąt pięć rubli, trochę nieruchomości jak: łóżko, pościel, wagę dziesiętną i łokieć. Berek liczył lat 18, Ryfka nieco więcej. Mógł Berek przy swej urodzie i zdatności lepszą partję zrobić, mógł się ożenić w mieście z jakąś familjantką, córką grubego pieniądze, lecz drobna przeszkoda stanęła na zawadzie.

Berek Liebesfeind był *mamzel*; jest to feler w urodzeniu wielki, z którym bardzo rachuje się arystokracja rodowa możeszowego wyznania. Jako *mamzel* miał Berek wstęp do znakomitych domów zamknięty i musiał sobie szukać żony wśród demokratycznej sfery pachciarskiej, skwitowawszy z korzystniejszej, matrymonialnej karjery.

Dziś Berek tego nie żałuje, a choć dał trzydzieści rubli w kahale za wyrównanie rozvodu, choć teraz jest zapisany w księdze Lewich, ceni Ryfkę wysoko i z lubością wspomina chwile miodowych miesięcy, kiedy to obydwójce z koszykiem w ręku, pełnym makagigów, pierników i miodowników, biegali z chaty do chaty, wymieniając słodki towar na jaja, skórki, kury i gęsi.

Miło wspomnieć przeszłość tak uroczą i owocną, siedząc we własnym sklepie!

A sklep to nielada! od podłogi do powały założony towarem w najlepszym gatunku. Czego tam nie ma!?

Jest mydło, cukier, sól, nafta, smarowidło, powrozy, kawa, smoła, tytoń, śledzie, chleb i bułki własnego wypieku, jest herbata i kawa, ałun, olej rycynowy i inne medykamenta; słowem wszystko czego dusza chłopska zapagnie.

Jest i towar łokciowy.

Zakupy robią Liebesfeindowie zawsze z pierwszej ręki; niektóre towary, jak kawa, herbata, sprzedają wprost z fabryki, inne, zwłaszcza słodczyce, chętnie nabywana przez dzieci włościańskie, wyrabiają na miejscu, w sąsiedniej izbie.

Bo trzeba wiedzieć, że zarówno Berek jak Ryfka, znają się wybornie na chemji stosownej.

Ryfka własnoręcznie przyrządza smakołyki, a choć nie czytała żadnych „przepisów“, proszę przypatrzeć się wyrobom np. pierników, słynących wśród dziatwy wiejskiej w całej okolicy. Do garnca żytniej mąki wlewa się pół kwarty melasu i urabia się razem na masę. Przygotowane ciasto wałkuje się na stolnicy mytej dwa razy do roku. Następnie rozwałkowane w kształt placka ciasto posypuje się kminkiem i wsadza na ostry ogień do chlebowego pieca. W pół godziny piernik gotów, należy go tylko na odpowiednie kawałki pociąć i na różny kolor polukrować. W tym celu bierze się trochę miążkiego cukru, rozbija się z białkiem z dodatkiem właściwej farby według gustu. Ryfka ma upodobanie w niebieskim kolorze, bo to barwa miła oku, a farbki do bielizny „ultramariny“ w sklepie nie brakuje.



Sjonista.

Ale wróćmy do samego sklepu.

Aczkolwiek mieści on towar wyborowy i do codziennego użytku potrzebny, nie byłby jednak przypuszczalnie tak licznie nawiedzany, zwłaszcza wobec konkurencji pobliskich miasteczek, gdyby jego właściciele nie zaprowadzili systemu handlowego, bardzo wygodnego dla stron obu.

System ten nader prosty, stosowany z powodzeniem w Afryce przez Anglików, zasadza się na wymianie produktów.

Wiadomo, że pieniądź jest okrągły, więc się toczy i trudno go utrzymać; wiadomo również, że grosz gotowy nie zawsze mieć można, zwłaszcza na wsi, gdzie przy utrudnionych środkach komunikacyjnych o regularnym dopływie gotówki nie może być mowy.

Z tej racji wychodząc, Berek i Ryfka Liebsfeindowie zaprowadzili, prócz sprzedaży za gotówkę i sprzedaż zamienną. Byle dzieciak, co się na pieniądzach nie zna i nigdy bodaj trojaka w rękę nie miał, mógł w sklepie Liebsfeindów za przyniesione jajko dostać kawałek piernika, za dwa — cztery sztuki karmelków *Landrina*, za pięć — paczkę *papirusów* razem z pudełkiem siarczanych zapalek.

Ryfka, będąc matką kilkorga bachorków, sama bardzo lubiła dzieci i z wielką łaskawością traktowała nieletnich kundmanów.

Bywało — kilkoletni malec wymknie się rankiem z chałupy i biegnie chyłkiem, skradając się ku sklepowi. Widzi to Ryfka, uchyla tylne drzwi i puszcza malca do środka. Ryfka wie, że uczucia rodzicielskie nie są dość w ludzie prostym rozwinięte. Mógłby ojciec lub matka dostrzedz, mogliby chłopcu jaką krzywdę wyrządzić. Tkliwe serce Ryfki zabiega tej ewentualności.

Wpuszczony cichaczem chłopak, wyjmując z nadra jajka. Ryfka skwapliwie chowa je do szuflady i pyta:

— Józiek, co bierzesz? miodownika? czy karmelki?

— Dajcie lepiej *papirusów*!

— Idź, głupi za dwa jajka?

— To wam później doniosę, ino matula w pole pójdą...

— Dostaniesz? a może w chałupie niema więcej jajek!

— O! albo ja to niewiem—zapewnia Józiek.— Jeszcze cztery kurki siedzą pod przypieckiem.

— No! to pamiętaj — napomina Ryfka, dając żądany towar.—Jakbyś nie przyniósł Józiek, to zaraz przed matką poskarżę — jaki z ciebie smyk! Pamiętaj! jeszcze dwa jajka należy mi się od ciebie, a jak przyniesiesz trzy, to ci dodam miodownika.

I chłopak nie zawiedzie—raz z obawy oskarżenia, powtóre dlatego, żeby raz na zawsze kredyt stracił. Wprawdzie matka wyrzeka, że kury jajka gubią, i odgraża się, kuksając Józka, że gadzinę na dwór powypuszczał, ale co to pomoże. Józek jajka podebrał, Ryfke odniósł, bo trzeba stawić się w słowie.

Zdarza się również czasem, iż małżeństwo żyje z sobą w niezgodzie, chłop sobie, a baba sobie. Jedno drugiemu wyrывa, każde ciągnie w swoją stronę, czasami się nawet pobiją, pokaleczą, zwyczajnie grubiański naród.

Z takim małżeństwem można handlować, ale tylko osobno z mężem, a osobno z żoną, inaczej zamiast targu będzie wrzask i bijatyka. Wie o tem Ryfka, wie o tem i Berek. Więc Berek idzie do chałupy niby z interesem i zagaduje kłótliwego chłopca, a tymczasem do sklepu biegnie chłopka z dwoma gęsiami pod pazuchą.

Ryfka wita ją mile, rozkłada towar łokciowy, dobiera się do gustu, na kieckę, na gorset...

Chłopka z przyzwyczajenia radaby się targować, ale na to czasu niema.

Spieszcie się! spieszcie się! a nuż „wasz“ nadejdzie!

— Kiej krzynę drogo!

— Nie bałamućcie! czy to pieniędzmi płacicie! Uchowaliście gęś, to wam się słusznie nowy przyodziewek patrzy... Przecie to wasza praca, a nie tego waszego rozbójnika, co ćwiartkami zboże do karczmy wynosi.

— Oj! pewno, że bezkuda wynosi! a mnie, swej kobiecie, to na lichą szmatę żaluje — żali się chłopka.

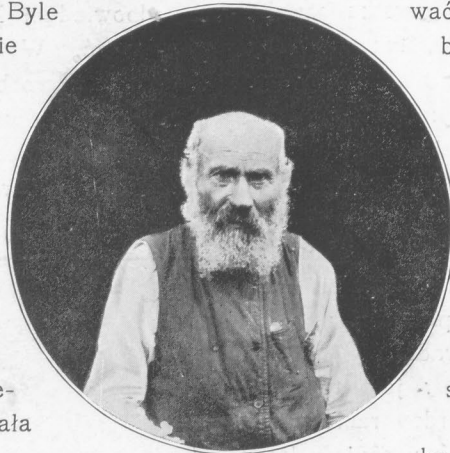
— A widzicie!—potakuje Ryfka, mierząc ułomnym łokciem żółty barchan w zielone kwiaty.

Tymczasem Berek radzi pod nieobecność żony mężowi.

— Co tam będziecie pytali na „waszą“! zwyczajnie babskie gadanie! Sprzedajcie mi ćwiartkę zboża, będziecie mieli na swoją potrzebę. Płace *baares Geld!*

— A jak się moja dowie?

— Wynieście teraz w worku za stodołę, a wieczorkiem zaniesiecie do mnie.



Pachciarz  
(z teki p. Pomianowskiego).

— Zgoda. Ale mi teraz przyslijcie paczkę *szwicentu*...

— Po co przysyłać. Jak wam już przyniosłem tak z dobrej chęci — mówi Berek, wyjmując z chałata zwitek tytoniu.

Wieczorem ćwiartka zboża wędrowała do komory Berka, a choć nazajutrz chłopka dostrzegła ubytek w ziarnie, a chłop zauważył brak dwóch gęsi, obopólne wykroczenia łagodziły winę i kończyło się zwykle na ucinkowym dogadywaniu.

— Jużeś znów garstkę zboża przepaskudził!

— Nie wymawiaj! bo ci się spytam o gęsi, strojnico! — groził chłop.

Tym sposobem, dzięki mądrej taktyce Berka i Ryfki, namiętności cichły, godząc się jak zwykle, z faktem dokonanym.

Tak więc zacna para sklepikarzy, nie nadwyrężając zgody małżeńskiej, nie wodząc na pokuszenie rodzicielskiej surowości, potrafiła sobie wyrobić w sferze „zakazanej“ nawet, liczną klientelę, zyskawszy, prócz zarobku, bezgraniczną wdzięczność i zaufanie.

Rzecz prosta, że o wiele łatwiej szło Liebesfeindom w normalnych warunkach, gdy małżonkowie, żyjący w zgodzie, zachodzili do sklepu po sprawunki, lub gdy małżeństwo nie stawała na zawadzie.

Wtedy kwestję targu rozstrzygało trafienie do gustu, czasem *borg* lub oszacowanie przyniesionych w zamian produktów. A pod tym względem Liebes-

feindowie doszli do mistrzowskiej wprawy. Berek wiedział, że Michał zażywa tylko *francuską* tabakę, że Ignac łakomy na śledzie *mlecza*ki.

Ryfka również знаła na wylot upodobanie kobiet. Jagnie Kaliciance raiła na gorset prawdziwy *welwet*, Majkowej dobrała już raz na barchankę, resztę ponsowego tartanu i dopuściła przy przemiarce. Józce na dworski wyżynek sama wplotła w wianek różowe i zielone wstążki, nie biorąc za fatygę nic zgola i czekając na zapłatę do młocki dworskiej koniczyzny, którą zwykle Józka podsiewała.

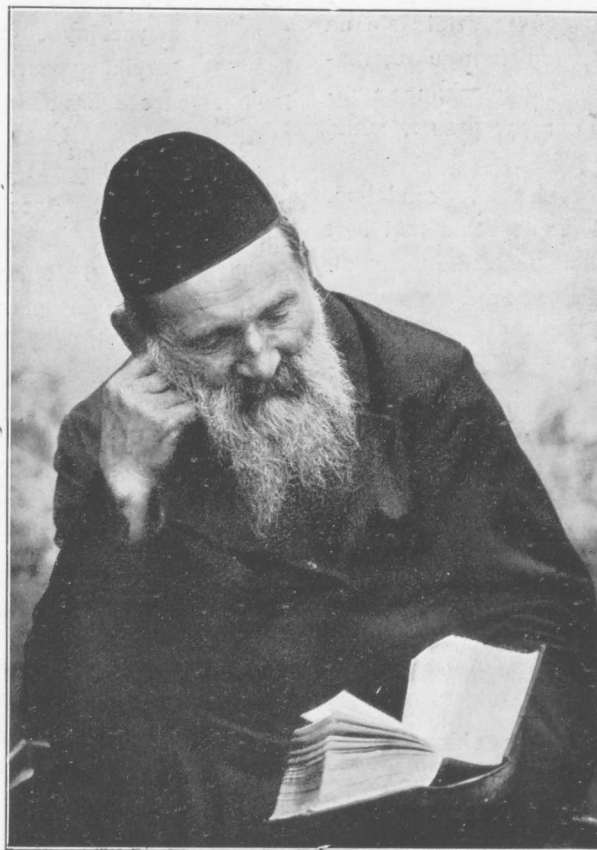
Jak już powiedziałem, w sklepie Liebesfeindów panował wszechwładnie system kredytowo-zamienny; obroty za gotówkę do wyjątków należały. System powyższy miał podwójnie dobrą stronę. Po pierwsze, z jednej godziny robił dwie i z jednego rubla dwukrotnie dawał zyski. Sprzedając na zamianę, równocześnie w tejże samej chwili przemieniali się Liebesfeindowie w kupujących; wzięła Berkowa za dwa łokcie wstawki kurę, to, rzecz prosta, zarabiała na sprzedaży wstawki i na kupnie kury. Zarabiała również i za względność, że się nie napierała gotowych pieniędzy. Dawał Berek Matusowi na *borg* tytuń i zapisywał kredką na ścianie, przy-

szedł czas obrachunku, Matus omłócił korczyk żyta, porachował się, a za procent odwiózł jeszcze Matus ziarno na targ do miasteczka.

Wygodą za wygodę.



Żyd ukraiński (z teki p. J. Korab-Brzozowskiego).



Uczony w piśmie (fot. amat p. M. Nowomiejskiego).



Pachciarz arciszewski.

Prócz przytoczonych powyżej ułatwień, nie lubiąca sporów natura Liebesfeindów, zdobyła się na znakomite ulepszenia w wagach i miarach.

W zwykłym teoretycznym pojęciu, łokieć łokciowi, a funt funtowi równy, w praktyce zdarza się czasem inaczej. Wiadomo, że funty dzielą się na luty, łokieć na cale. Jeżeli przeto funt cukru, mający 32 luty, kosztuje łącznie z kupieckim zarobkiem, szesnaście kopiejek, to, rzecz prosta, taniej sprzedanym być nie może.

Ale co robić z upartym chłopem, grundalem, gdy nie chce dać tylko 14 kopiejek za taki funt słodczy? Czy mu nie dać i pozwolić, żeby pił herbatę na gorzko, żeby stracił smak do zdrowego napoju i wziął się do wódki.

Głupi kupiec bez handlowej edukacji z pewnością zrobiliby tak. Lecz Berek i Ryfka nie. Targują się z początku do upadłego, a gdy widzą, że nie pomaga, *puszczają*...

— Niech będzie po waszemu, Macieju — mówi Berek do upartego chłopka. — Dla was tym razem sprzedam ze stratą... ale pamiętajcie, jak będziecie jechali na jarmark, to się do was przysiędę...

— A toć mi woza nie ubędzie...

— Ny! to już zgoda. *Ryfka gib a kleines funt cukur a fürzen kopiejkes* — dyryguje Berek i niebawem uradowany z taniego kupna chłopak idzie do domu, rozmyślając:

— Jednak z Berka zgodny żyd. Całe cztery grosze puścił na funcie.

A Berek z Ryfką śmieją się w kułak, bo odważyli cukier na *małe*, dwudziestoośmiolutowe funty.

Podobnie jak funty, są i łokcie w podwójnym gatunku, małe i duże są, kwarty i garnce dwojakie. Jak komu i jak kiedy!

Oprócz tego do grubszych rachunków jest ćwierć

7-o i 10-o garnkowa i waga decymalna, której urządzenie wystudjował Berek znakomicie.

Niemają przytem zarobek daje sam towar, jeśli się go bierze z pierwszej ręki albo wprost z fabryki, a czasem nawet wyrabia na miejscu.

Ma zagranica „prawdziwą kawę figową“, ma i Berek prawdziwą kawę z przypalonego łubinu. Produkt tani a zdrowy, bo przecież chłop nie owca, żeby na „łubinozę“ zachorował. Herbata, nabyta u Liebesfeindów, nie jest wprawdzie „karawanowa“, ale za to naciąga silnie. Z małej szczypty można zrobić pół garnca napitku, mniej szkodliwego zdrowiu, bo nie zawiera wcale „teiny“, a przypomina smakiem kiszoną kapustę, kolorem zaś wypaloną cegłę.

Raz zrobili w sklepiku Liebesfeindów rewizję i znaleźli dużo paczek z etykietami i całą faskę wysuszonego liścia, niewiadomo, z jakiego pochodzącego krzewu. Żli ludzie *obnieśli* później, że Berek liście farbował cynobrem, zawijał w paczki i sprzedawał za herbatę.

Oj! te języki!

Czego zresztą ludzie nie gadali. Gadali, że od Berkowych cukierków dziecko Paluszyny zmarło, a to był zwyczajny „urok“, gadali, że w mące trafiały się bryłki gipsu, a olej zalatywał terpentyną i wiele jeszcze brzydkich rzeczy zawiść ludzka wymyśliła.

Ale co to Berkowi i Ryfce szkodzi. Odbyt jest, utargowanie jest. Uczciwej pracy zawsze szczęście sprzyja, a złe gadanie ludzkie nic nie zaszkodzi.

Dziś Berek i Ryfka Liebesfeindowie mają już sklep we własnym domu, mają na pożyczkach u ludzi paret rubli, a żyją, jak Bóg przykazał, edukując dzieci. W sabat do rybki i łoksiny siada u Liebesfeindów dziesięć osób. Ich dwoje, siedmioro bachorków i belfer.

I to wszystko żyje z procentu od wkładowego kapitału 75 rubli!!

EL.



Handel (fot. z Poznańskiego).

## UBIORY LUDU.

Aby oznaczyć jakie barwy przemagały niegdyś ogólnie w odzieży ludu polskiego, potrzeba przedewszystkiem wiedzieć z czego ta odzież była wyrabiana. Podstawą jej były: len, konopie, wełna i skóry futrzane z owiec polskich, zwykle białej, czarnej i pośredniej, to jest siwej maści. Włókna lnu i konopi dawały „part“ szarego koloru, którego prostaczą szarzyznę możniejsi wyszlachetniali na kolor biały przez rozpościeranie na ziemi i polewanie go wodą pod działaniem światła słonecznego. Zapewne najprzód szlachta i kmiecie książęcy, później cały lud bielił płótno na „bieliznę“, nazywając wogóle „szmatami“ i „chustami“ białe koszule, prześcieradła, obrusy, plachty, ręczniki, łotusze i rańtuchy. Kolor biały był z dawnych wieków ulubionym w odzieży narodu polskiego. Kronikarze piszą, że przy chrzcie Litwinów Władysław Jagiełło kazał rozdawać nowochrześciance białe szaty. Największą cenę u ludu litewskiego miała suknia biała, zwana „trynicze“ („Litwa“ Ludwika z Pokiewia, str. 20).

„Portki“ z białego partu były odwiecznym ubiorem polskiego kmiecia (Maciejowskiego: „Polska i Ruś“, t. III, str. 330). Góralki ubierały się z dawna w białe płótno (Gołębiowskiego „Lud polski“, str. 25).



Typy z Krakowskiego.

Podstoli Krasickiego chodził latem koło gospodarstwa „w żupanie białym“. Lud zebrany tłumnie, zwłaszcza latem do kościoła, przedstawiał się z oddali przeważnie białoubrany. Ale nie tylko latem, bo i w zimie nosił długie kożuchy na biało wyprawne i najczęściej niczem nie pokryte. Większa część darów weselnych u ludu, a mianowicie: pasy, ręczniki, chustki i koszule bywały zwykle z białej przędzy. U szlachty dziewice haftowały dla swych narzeczonych jedwabiem kolorowym białe pasy do ślubu, kształtu jakby olbrzymich białych ręczników. To znaczenie białego koloru musiało sięgać prastarych czasów, skoro już w dobie piastowskiej stał się on barwą narodową obok szkarłatu czyli czerwieni, której dostarczał jako barwnika pospolity w Polsce i na Rusi owad, zwany „czerwcem“.

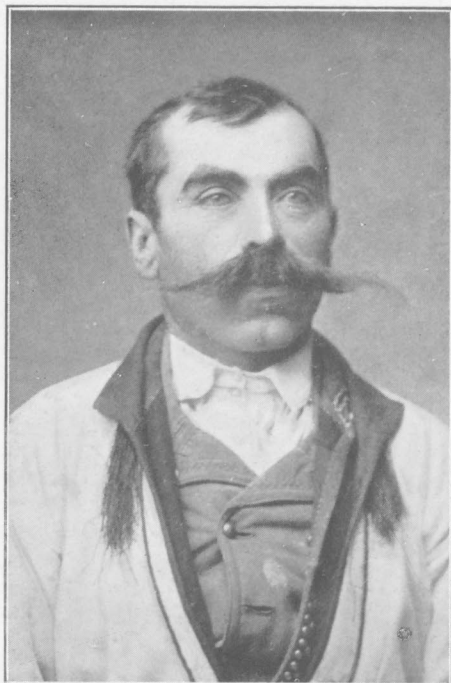
Obok lnu i konopi drugim podstawowym materiałem w odzieży polskiej była wełna z owiec, hodowanych w każdym naszym gospodarstwie. Ponieważ owce polskie były przeważnie maści białej i siwej, więc też i samodziały tkane zarówno przez lud, jak niegdyś i po dworach szlacheckich, były pospolicie białe, siwe, szare. Barwa ta naturalnej wełny miała nawet swoją nazwę „szarza“ czyli „szarzyzna“. Marcin Bielski pisze, iż „Zygmunt August na sejm piotrkowski przyjechał, dwór swój wszystek w „szarzę“ ubrawszy, barwę tę ziemiańską nazywając. Stąd zwano szare pospolite sukno szaraczkiem i szlachtę uboższą, która w odzieży takiej zwykle chodziła, nazywano „szaraczkami“. A i koniec stołu pańskiego, przy którym młodzi i ubożsi domownicy i ziemianie siadywali, zwał się od pospolitej barwy ich odzieży: „szarym końcem“. Jeżewski w swojej „Ekonomji“ rymowanej za czasów Władysława IV-go pisze:

Przodkowie o szarłat (szkarłat) nie dbali,  
Wojewodowie w szarzy więc chadzali.

Skromność ta jednak musiała już wówczas dawno przeminać, bo jeżeli Zygmunt August ubrał



Typy z Krakowskiego.



Typy z Krakowskiego.

swój dwór szaro, to niewątpliwie dla tej samej przyczyny, dla której potem Stefan Batory nosił u swej magierki skrzydło prostego koguta, żeby dać przykład oszczędności panom polskim, którzy lubili naśladować i przesadzać się w strojach zbyt kownych z królami. Jednym z rodzajów barwy ciemno-szarej była także barwa bura, od której poszła nazwa „burki“. Już w XVII w. słynęły burki, wyrabiane w Szczekocinach i musiały się szczególnie na Mazowszu upowszechnić,—Wespazjan Kochowski pisze: „Widząc na Mazurku szczekocką burkę“.

Karmazyn, czerwień, szarłat czyli szkarłat był kolorem Piastów, a więc i barwą szlachty polskiej, która powstawała z ich drużyn bojowych. Marcin z Urzędowa pisze w XVI wieku: „Rzeczy jedwabne, które farbują czerwcem polskim, zowią *kermazyn*, jakoby po naszymu czerwcem farbowany“. Szlachta piastowska i jej potomkowie nosili uprzywilejowane zwyczajem narodowym żupany karmazynowe. Zdarzały się jednak wypadki, że gdy jaki ród rycerski shańbił się niegodziwymi postępkami, zabraniano mu za karę używania w stroju rycerskim, barwy karmazynowej i stawania do boju w pierwszym rzędzie, a to do czasu, dopóki mu panujący, obu tych wysoko cenionych zaszczytów nie przywrócił. Tak było za doby Piastów z wielkopolskimi Nałęczami, podobno odsądzonymi za udział ich w zamachu na króla Przemysława, i dopiero Kazimierz Wielki po wielu męźnych czynach Nałęczów, przywrócił im oba zaszczyty. W ciekawym tym fakcie odmowy i przywrócenia rodowi

szlacheckiemu przywileju do noszenia czerwieni, uwidoczniły się prastare etyczne pojęcia i prawo zwyczajowe narodu, który stawiał wyżej cnotę nad przywilejem urodzenia, skoro były występki, odejmujące starożytnemu rodowi jego czerwień, i były cnoty, prowadzące do odzyskania tejże. Lud polski, naśladować po wszystkie wieki szlachtę, przy której dworach mieszkał, przechował do naszych czasów zamiłowanie do barw, w jakich praojcowie jego widzieli stan rycerski, a których wzory w przyrodzie dawała mu: krew, dawał owad czerwiec i dawał sok leśnych malin i domowej wiśni.

Barwa żółta była uprzywilejowaną dla stanu mieszczańskiego, a że gdy trochę brudna i spłowiała, ma kolor łyka drzewnego, stąd mieszczan nazywano w Polsce „łykami“, tak jak drobną szlachtę „szaraczkami“. Gdy nastaly za Jagiellonów bliższe, bo codzienne, orężne i handlowe stosunki ze Wschodem, upowszechniły się w Polsce różnokolorowe tkaniny jedwabne, a sklepy bławatne po miastach zajaśniały: fioletem, bławatem, karmazynem, purpurą, szarłatem, koraliną i t. d. Do owych też czasów należy odnieść upowszechnienie i rozmiłowanie się narodu w kolorze granatowym, czyli ciemno-modrym i błękitnym. Chorągwie książąt piastowskich, królów polskich i wielkich książąt Litwy miały dwie barwy: białą i szkarłatną, ale chorągwie hetmanów litewskich były barwy błękitnej (obacz Glogera: „Encyklopedia Staropolska ilustr.“ artykuły: Barwa, Barwy, Czerwec, Czerwień, Granat, Karmazyn). Szlachta możniejsza ubie-

rała także służbę dworską najczęściej w barwę granatową i błękitną, a były całe powiaty na Kujawach i w Mazowszu, gdzie lud jeszcze niedawno tylko granatowe nosił sukmany. Zamierzając tu opisać ubiór ludności wiejskiej Królestwa Polskiego w XIX wieku, zacząć musimy rzecz porządkiem od górnego biegu Wisły, a więc od gubernji Kieleckiej i okolic jej południowych krakowskich. Znana powszechnie piosnka krakowska: „Alboż-wa to jacy tacy“ i t. d., daje opis stroju krakowskiego nie z pod samego Krakowa, ale z dalszych północnych i wschodnich jego okolic: od Słomnik, Miechowa, Szkalmierza i Proszowic. Według słów tej pieśni, „czerwona czapeczka“, rogatywka z pawiem piórem i sukmana, zwana „kierzezą“, „karazją“, z olbrzymim wyszywanym spuszczonej na plecy kołnierzem, były koniecznością w stroju krakowskim tych okolic. Płonąca karmazynem czapka krakowskiego chłopca (od Szkalmierza, Stopnicy) już na stulecia przeszłość swoją liczy, skoro w Długoszu jest niewątpliwe o niej świadectwo. Dziejopis bowiem ten, mówiąc pod rokiem 1205 o śnie Romana księcia Halickiego, wspomina o Sandomierzanach, których głowy czerwieniły się od czapek, skąd poszło, że przyrównywano wtedy rycerstwo krakowskie do szczygłów, gdy walczący z nimi Rusini barwami stroju przypominali wróblów. Niektórzy chłopci zamiast kierzezi lub białej sukmany noszą, zwłaszcza latem, tak zwaną „górnice“ czyli „plóciennicę“ z białego płótna. Ma ona krój wspomnianej sukmany, a raczej podobnego do niej długiego żupana, gdyż jest, jak ten ostatni, bez kutasów i frendzli u boku. Kołnierz u niej stojący pikowany, obszty wązką sukienką czerwoną lamówką. Pod białą sukmaną lub górnice, a często latem i bez niej, noszą „kaftan“ sukieny granatowy, długi, prawie do kolan, bez rękawów, z podszewką czerwoną, obszty dokoła ponsową lub amarantową lamówką. Pod kaftanem noszą koszulę z płótna białego z małym kołnierzkiem zahaftowanym, spiętą pod szyją na spinkę. Chustki na szyi wcale nie nosząc, niekiedy koszulę za-

wiażują wełnianą czerwoną tasiemką, zwaną „harasówką“ lub „faworkiem“, rzadziej zaś „fontaziem“ czyli kokardką. W zimie noszą kożuchy białe baranie, czasami równie jak sukmana, ze stojącym kołnierzem i włóczkowymi ozdobami, częściej jednak z kołnierzem wyłożonym, „otworzystym“, w kształcie pelerynki, z czarnego baranka i z takimiż łapkami.

O ubiorach ludu krakowskiego pisali: Łukasz Gołębiowski w dziele „Lud polski“ (Warsz. 1830, str. 20); K. Milewski w swoich „Pamiętnikach“, „Biblioteka Warszawska“ (r. 1850, w zesz. czerwcowym, wyjątek z dzieła M. Wiślickiego); „Tygodnik Ilustrowany“ (r. 1862 i 1864); ks. Wład. Siarkowski w „Zbiorze wiad. Antropologii“ (r. 1878, t. II, str. 212), wreszcie oskar Kolberg w serji V-ej i XVIII-ej „Ludu“. Z opisów tych widzimy, że w Miechowskim i Szkalnierskim mężczyźni nosili koszulę po wierzchu spodni, opasując ją pasem skórzanym białym lub surowcowym, nabijanym ćwieczkami mosiężnymi i wyszywanym zieloną skórką, u którego wisiało parę rzędów kótek mosiężnych, brzęczących za każdym poruszeniem się w tańcu. Wisiał także „kozik“ na rzemyku, oraz hubka i krzesiwko w skórzanej „kalitce“. Lulkę z cybuszkiem nosił chłop w zanadrzu lub holewie. Spodnie noszono płócienne lub ze skóry na żółto wyprawnej, buty juchtowe z wysokimi żelaznymi podkówkami, którymi lubiono w dziarskim tańcu

krzesać z podłogi ogień. Czerwona czapka miała wazki czarny baranek. Proszowiak nosił białą sukmanę, wyszywaną czarnymi sznurkami, Szkalmierzak zaś, karazję brunatną z wyszywaną bogato peleryną, która się zowie „suką“, „suczka“. Panowie ubierali swoich woźniców w kierzeze z suczką, wyszywaną świecącymi blaszkami. Dziewczęta nosiły włosy zaplecione w warkocz, kolorową zakończony wstążeczką. Koszule ich były u kołnierza, naramków i rękawów karmazynowym wyszywane jedwabiem lub ponsową bawełną. Mężatki ukrywały podcięte „kędry“ pod litym czepcem albo białą chustką w zawój związaną, której końce



Włościanie z okolic Miechowa.

spuszczone były z tyłu na szyję, ozdobioną kilkunastu sznurami koralu i paciorków bursztynowych lub kolorowych szklanych. Na gorset kamlotowy, aksamitny lub sukienki odziewały się „rańtuchem“ z płótna cienkiego białego albo rąbku. Taki rańtuch płócienny zwał się po staropolsku „łoktuszą“. Spódnice krakowskie w jaskrawych kolorach nie sięgały nawet do kostek. Zamiast trzewików noszą krakowianki buciki na wysokich obcasach. W czasie uroczystości wiejskich, dziewczęta ubierają głowy w aksamitne albo lamowe lite czółka, przystrojone mnóstwem świecideł i wstążek. W zimie zamożniejsze wieśniaczki nosiły granatowe lub zielone kaptory czyli szubki, nie dłuższe jak po kolana, barankami podbite. Wychodząca w Warszawie 1858 r. „Kronika“ (№ 163 — 170) powiada, że „około Chmielnika, Chęcina i Kielca widać tę różnorodność ubiorów ludowych, jaka panuje w barwach i kroju stykających się tu Krakowiaków z Sandomierzakami. Ileż tu przeróżnej wzorzystości i kolorów, kłócących się nawzajem, zanim się zleją w szary ubiór leśniaka z szczyteńskich borów (Szczecno). Lasy wywarły widoczny wpływ na lud, osmutniwszy go, zwiększając powolność jego ruchów, jego śpiewu oraz ciemne barwy jego sukni“.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## BIBLIOGRAFIA.

„Jego Żarłoczna Mość — Burak...“

*Szkice Ukraino-kontraktowe przez Adama hr. Rzewuskiego, Kijów, nakładem księgarni L. Idzikowskiego, 1912.*

Pięć nowel, zebranych pod tym lokalnym tytułem w książkę, starannie wydana, obejmująca 152 stronniice druku, pokazują nam interesującą i nie przeciętną zdolność twórczą dobrego i ciekawego pióra. W formie bezpretensjonalnej ale żywej i barwnej dotknął autor trzema nowelami — „Jego Żarłoczna Mość — Burak“, „Horpynka“ i „Epidemja“ — mało u nas znanych, baznadjęnie szarych i bolesnych horyzontów kresowego życia, gdzie „prozaiczny i pękaty, twarde łono stepów rozpierający burak, nabiera symbolicznego charakteru wszechmocy, która losami ludzkiemi na szmacie ziemi w jej szponach pozostającym kieruje...“

Burak jest na Ukrainie, Podolu i Wołyniu nowożytnym wcieleniem złota. Dokoła jego ołtarza odbywa się tam od szeregu lat sarabanda ludzkich zabiegów i wysiłków — co dzień z łańcucha tych zacieklejch płasów ubywa jakaś ofiara, padając na żyzną ziemię z rozbitą pierśią, by z niej nie powstać więcej — i co dzień idzie dalej płas szalony po zdeptanych ciałach słabych i wyczerpanych...

Adam hr. Rzewuski z dziwną u młodego pisarza obiektywnością sądu, z niezwykłym darem trafnej obserwacji ujął charakter tej płaszaniny w szereg kalejdoskopowych obrazków, rysowanych wypukło, może jaskrawo, może zbyt lokalną manierą, ale śmiało i wymownie. A poza tym darem obserwacji, poza wyraźną zdolnością literackiego żywego zobrazowania tematu jest jeszcze w tym autorze coś więcej — jest żywe, współczujące serce, z którego wypłynęła potrzeba po-

trącenia tych smutnych strun, jest szacunek dla wszelkiego bólu, jest miłość! Jest uczucie oparte na rozumnym światopoglądzie, ale bardzo czyste i szlachetne w dźwięku. Jest także zmysł satyryczny z gorzkim, bolesnym uśmiechem na ustach.

Dwie inne nowele, pomieszczone w tym samym tomie p. t. „Na głuszcze!“ i „Z toków i ciągów Poleskich“ — to wrażenia myśliwskie, przepojone ukochaniem natury, doskonale utrzymane w specjalnym tonie, który ocenić może tylko z krwi i kości polski myśliwy. Język dobry, styl łatwy i barwny, tu i owdzie jednak niżej stojący od myśli, które książkę czynią ciekawym dokumentem życia kresowego, nie przesadzonym bynajmniej w akcencie.

J. OSTOJA.

Nauka języków obcych coraz bardziej rozszerza się w naszym społeczeństwie. Świadczy o tem powodzenie wydawnictwa „Journal Instructif et amusant“, które właśnie niedawno ukończyło pierwszy rok istnienia. Jest to miesięcznik, zawierający zręcznie zebrane opowiadania, nowele i artykuły z różnych dziedzin wiedzy w języku francuskim wraz z podaniem „słówek“ i objaśnieniami zwrotów językowych. Wydawca M. Borkowski przystąpił obecnie do wydawania podobnego typu pisma w języku niemieckim p. t. „Zur Lust und Lehre“, którego trzeci numer ukazał się przed paru dniami. Oba te wydawnictwa, jako pomocnicze do nauki języków obcych, pod względem treści i formy, w zupełności odpowiadają swemu celowi, a jako niezwykle tanie mogą się przyczynić skutecznie do usunięcia z domów polskich różnych tego rodzaju wydawnictw obcych, których prenumeratą niepotrzebnie wzbogacamy zagranicę.

**POŻYCZKI NA MEBLE** udziela  
TOW. AKC. **A. Wróblewski i S-ka, Trębacka 13.**





## O KULTURZE POLITYCZNEJ.

Historycy nasi podnosili niejednokrotnie fakt młodszości naszego cywilizacyjnego rozwoju. Fakt to niezaprzeczony, tłumaczyć on też zdoła niejedną naszą słabość opóźnienia, nawet niepowodzenia; obiektywny socjologiczny obserwator uzna też w tych różnych ujemnych objawach nie naszą świadomą winę, lecz winę właśnie tej naszej młodszości; ale ten spokój socjologicznego obserwatora nie może zadowolić polityka, gdyż ten zdążyć musi do tego, aby pomimo młodszości nie dać się zgnieść potężnej konkurencji starszych, lepiej rozwiniętych silniejszych społeczeństw, owszem, aby je doganiać, zmniejszać odstęp pomiędzy nami i nimi, zrównać się z nimi, a może i wyprzedzić. Potrzeba nam na to intensywniejszej pracy, niż innym, potrzeba włożenia w tę pracę więcej silnej a dobrej woli, więcej świadomości, więcej wytrwałości.

Jest szereg czynników, właśnie z naszej młodszości wynikających, które utrudniają naszą pracę i położenie, ale w tymże samym fakcie młodszości naszej, znajdują się i momenta dodatnie, które rozumnie użyte, mogą w nas budzić otuchę na przyszłość, ułatwiać pracę rozwoju, zagadnienie dogonienia. Z tych momentów na dwa tu tylko zwrócę uwagę. Nie jest to frazes literacki, gdy się mówi, że nasz lud przedstawia dla nas jeszcze: „nieprzebraną siłą skarbnicę“. Dotąd pomimo rozbudzonej pracy są u nas jeszcze liczne koła, które nie biorą czynnego świadomego udziału w życiu i pracy narodu; są to wielkie zapasowe rezerwy, wielkie siły, które wprowadzone w czynne życie, uświadomione, swą liczbą, siłą, świeżością swego uczucia dodatnio mogą zaznaczyć się w dziejach, zaważyć na doli narodu. Takich rezerw w tym stopniu jeszcze niewyciągniętych w pracę i organizację narodu, już nie wszystkie mają narody, u nas one są, staną kiedyś w szeregu, byle nasza praca umiała je osiągnąć, wprowadzić w szeregi pod narodowym sztandarem. My jeszcze możemy sięgnąć głębiej o jedną skibę, użyźnić, zasilić swą glebę. Problem to doniosły, trudny, ale uprawniający nas do wielkich na przyszłość nadziei, byle ta praca uświadamiania uszlachetnienia, uobywatelenia, unarodowienia, była należycie podjęta i prowadzona.

Drugim momentem również dla nas korzystnym, to fakt, że rozwój narodów nie odbywa się po linii prostej, ciągle do góry, lecz że w tym dziejowym rozwoju prócz postępu widać i zboczenia, prócz kroczenia prostą, jasną drogą, widać staczanie się na manowce, prócz hołdów przed „prawdy ołtarzem“

widać i pokłony przed błędów i „fałszu bożyszczem“. My idziemy później; doświadczenie innych może i powinno nam być przestrożą i nauką. Ale na to, aby nam było przestrożą i nauką, musimy przyuczyć się krytycznie patrzeć na dzieje innych narodów, nie tylko krytykować swe własne dzieje, musimy krytycznie oceniać ich idee i ideały, ich ustrój i instytucje, brać od nich tylko, co dobre i co nie jest sprzeczne z naszą istotą, z naszą indywidualnością narodową.

Korzyść tego momentu, że możemy uczyć się i z cudzych doświadczeń, jest jednak tylko możliwą, mamy ją in potentia, a niestety rzadko umiemy ją odnosić. Owszem, częściej się zdarza, że bezkrytycznie uznajemy za dobre, cudze instytucje, cudze idee, podobnie jak dla wielu u nas niestety dotąd obce pochodzenie, cudzy wyrób jest pierwszorzędą rekomendacją towaru, i nieraz towar krajowy musi pod obcą uciekać się markę, by znaleźć należyty popyt i uznanie. I nie śmiałybym twierdzić, że to zjawisko ogranicza się u nas do dziedziny rzeczowych wytworów, że nie sięga w dziedzinę myśli.

Owszem, często obce jaskrawości, hasła i programy, których tam nikt na serjo nie bierze, które tam nie wpływają na życie, albo źle wpływają i są już tam jako źle uznane, są u nas kolportowane i stosowane naprawdę, z zapalem wartym lepszej sprawy. Przykre prawa przyrody, że chwasty prędzej się plenią i głębiej zakorzeniają, że łatwiej niszczyć, niż budować, i tu się sprawdzają. A że znów uczy nas przyroda, że obcej zarazie łatwiej ulegają słabe organizmy, nie mające dość sił odpornych, zdolnych strawić zarazy jad, stąd sam ten fakt łatwego i pochopnego przyswajania bezkrytycznie obcych idei wzbudza słuszne obawy słabości naszego duchowego organizmu.

Okoliczność ta łatwego ulegania cudzym wpływom każe nam z dwóch powodów ogromnie baczyć na wszystkie zjawiska naszego życia, na idee, jakie się krzewią i na stosunki, jakie się wytwarzają.

A powodami tymi: tak owe warstwy nowe, aby one naprawdę jako zdrowe, jako przybytek sił wstąpiły w czynne obywatelskie szeregi narodowe, oraz ewolucja, jaka się u nas dokonywa na wszystkich polach. Dość tu wspomnieć parcelację, rozwój miast, powstający wielki przemysł i kopalnictwo, nowe warstwy przedsiębiorców, urzędników prywatnych i publicznych, robotników, mnożące się szkoły, pisma, instytucje, stowarzyszenia przeróżne, aby przypomnieć sobie, jak bardzo i jak szybko

zmienia się nasz ustrój społeczny, gospodarczy i intelektualny.

Dokonywa się u nas i wielka ewolucja w organizacji politycznej. Rozszerzenie prawa wyborczego, wprowadzenie zasady powszechności głosowania, wprowadza nowe warstwy w czynne polityczne życie, przesuwając w inne ręce ster spraw politycznych. Ewolucja to bardzo doniosła i właśnie skutkiem tej jej doniosłości sięgania głęboko w stosunki polityczne, społeczne, kulturalne i moralne, wymaga poważnej baczności, rozważenia czy ona same rokuje korzyści, czy też może i na niebezpieczeństwo pewne naraża.

Wiadoma trudność nauk społecznych, że nie mają laboratorium, eksperymentów, pełnej indukcji i stąd nieraz bez doświadczenia, a priori sądzić trzeba. Tu jednak mamy już doświadczenia *cudze*, możemy więc oprzeć się na indukcji. Nie daje ona nigdy pełnego dowodu, bo mamy do czynienia z ludźmi, ich wolną wolą, różnym poziomem etycznym, gospodarczym intelektualnym, ich różnym temperamentem, wreszcie z różną tradycją i ustrojem społecznym, ale zawsze to cudze doświadczenie może być nauką i przestrożą.

Jako taki przykład pouczający moglibyśmy wziąć Stany Zjednoczone, gdzie wbrew duchowi i literze konstytucji cała parlamentarna polityka stała się przedsiębiorstwem, a wyborami i posłami, za pośrednictwem mechanizmu partji, rządzą po prostu tylko pieniężne interesy. Różnice jednak ustroju, historii, warunków bytu są tam tak różne od naszych, że mógłby kto nie uznawać ich wyników za pouczające dla nas. Weźmy więc przykład bliższy, Francję, ktorej ludności charakter tak często z naszym porównywano i który niewątpliwie wykazuje pewne podobieństwa.

Kto zna dawniejszą literaturę polityczną francuską, przypomni sobie z jak wielkimi nadziejami żądano i witano powszechne głosowanie; uważano, że to wielki ostateczny postęp, pełne uobywatelenie wszystkich warstw, rządu w myśl potrzeb i woli ogółu, początek nowej z pełnej błogosławieństwa epoki. A nadzieje te odżyły jeszcze i spotężniały, gdy upadło cesarstwo ze swym politycznym uciśnięciem, gdy konstytucja z r. 1875 dała Francji demokratyczną republikę.

Od owej epoki minęło zaledwie trzydzieści i kilka lat, życie jednego pokolenia, a dziś powszechne są skargi i krytyki na polityczne stosunki, na korupcję wyborczą, korupcję administracyjną, marnotrawstwo grosza publicznego, zwyrodnienie stronniczego ducha. A ta ostra krytyka nie wychodzi ze strony wrogów republiki, czy wrogów demokracji, lecz najostrzej właśnie krytykują gorący republika-

nie i demokraci przejęci obawą, że dalszy rozwój obecnych stosunków krzewi deprawację, prowadzi do anarchji, która sama już jest klęską i do dalszej większej klęski prowadzić musi.

Z trwogą i bólem podnoszą oni rosnącą *korupcję mas wyborczych*, głosowanie nie dla idei, lecz dla korzyści lokalnych lub osobistych, natychmiastowych, czy obiecanych, *degradujące posłów* od życia imperatywnego mandatu, uważanie posła za komisjonera do załatwiania prywatnych interesów i spełniania poruczeń swych wyborców, co naturalnie usuwa z życia poselskiego jednostki niechzące zniżyć się do tej roli, a wprowadza na arenę polityczną niesumiennej aferaży. Dla nich polityka jest przedsiębiorstwem, a gdy sami nic nie dostają za darmo, dla idei, to i oni nie dla idei wykonywują mandat, każą sobie płacić za popieranie rządu, faworami administracyjnymi czy osobistymi, lub zapewnieniem trwałości mandatu przez fawory dla swego okręgu wyborczego, wyborców i urzędników tamże, przez co dezorganizują administrację i finanse, demoralizują politykę. Chwilowy poseł, chwilowa większość, chwilowy rząd wiedzą, że tylu innych czeka, by zająć ich miejsce, że żyje tyle innych apetytów, więc trzeba faworytyzmem, zaspakajaniem przeróżnych egoizmów, starać się jak najdłużej utrzymać na pozycji, wyzyskać na swą korzyść posiadaną władzę i stąd całe rządy przybierają wybitną cechę partyjności i jednodniowości, bez żadnej myśli o całości, o ojczyźnie, o jutrze. Podaje Fouillée, że w ciągu 25 lat było 27 ministrów wojny, 41 ministrów spraw wewn.; sam już ten fakt jest i objawem i czynnikiem anarchji, dezorganizacji, stwierdza chwiejność i lichej materjał ludzi, tworzących większość i wchodzących do rządu, uniemożliwia wszelką dalszą myśl polityki w wielkim stylu, na dalszą metę. A takie stosunki, taka polityka jest marnowaniem przyszłości narodu. Bo korupcja poczęta w dziedzinie politycznej przenika coraz bardziej i w inne dziedziny życia, czego jaskrawym dowodem i obrazem smutna statystyka kryminalna Francji, wykazująca szybki wzrost wszelakich przestępstw i zbrodni. Przecież doszło tam aż do zanegowania idei ojczyzny, miłości ojczyzny, obowiązku służby dla ojczyzny, tak że na nowo występują — między nimi i R. Poincaré — z uzasadnieniem i obroną idei ojczyzny\*).

\*) *Révue politique et parl.* 1910. Z olbrzymiej literatury opisującej stosunki polityczne przytoczę tu *Fouillée*: „La démocratie politique et sociale“; *Leyret*: *La république et les politiciens*; tegoż; „La tyrannie des politiciens“; *Deherme*: „La crise sociale“; *Leroy-Beaulieu* napisał dawniej: „Les politiciens contemporains représentent une des classes

Ich doświadczenie dało przeto rezultat ujemny, zniechęcający, groźny dla przyszłości narodu. I powstała wielka dyskusja, aby wynaleźć przyczyny, znaleźć środki ratunku.

Ale nie to nas tu zajmie: chodziło tylko o stwierdzenie, że taka wielka polityczna ewolucja, taki ustrój, może być niebezpiecznym, może przynieść złe skutki, a tych złych następstw uniknąć jest naszym obowiązkiem, interesem — wprost warunkiem bytu. Właśnie jako młodszy, właśnie jako słabszy, musimy wszystkiego unikać, co może siły rozstroić, przerwać i opóźnić rozwój normalny. Podniosłem to na innym miejscu, że nasz byt narodowy zależy wprost od siły i liczby świadomości narodowej. Pisał dawniej Szujski przeciw prowincjonalnej polityce, uważając ją i piętnując, jako zerwanie z ojczyzną. To też te antypatryotyczne objawy i hasła, jakie się dziś mnożą we Francji, byłyby dla nas wprost zabójcze, najwyższem nieszczęściem, ruiną naszego bytu, negacją indywidualności.

Czytałem niedawno w francuskiej rozprawie o instytucjach dawnej Polski, że przyszły historyk

les plus viles et les plus bornées des sycophantes et des courtisans qu'eut jamais l'humanité. Leur seul but est de flatter basement et de développer tous les préjugés populaires", a *Leyret* pisze: „Les politiciens ont fait de la République le règne de l'utilitarisme et de la persécution. Ils ont soumis la majorité du pays à la domination de leur coterie; ils ont asservi le pouvoir, l'enchaînant à leurs passions égoïstes, le condamnant à gouverner la France au mépris de ses traditions et de ses destinées. Ils ont tant perverti l'esprit public qu'ils se croient le droit de compter sur la servitude des foules pour maintenir indéfiniment leur frénétique tyrannie“.

cywilizacji uznać będzie musiał, że Żydzi wnieśli w dzieje ludzkości religję, Grecy poczucie piękna, Rzymianie poczucie prawa i ładu, a Polacy ideę ojczyzny, której byli apostołami i męczennikami. To też i wzgląd na naszą indywidualność, naszą siłę, nasz byt, każą nam unikać stosunków, które do tak złych wyników, aż do osłabienia idei ojczyzny prowadzą.

A czy i jak możemy ich uniknąć? Na to potrzeba diagnozy, a tej rezultat: najnowszy ustrój polityczny opiera się na błędnej naukowej hipotezie. Teorię ekonomji oparła t. zw. klasyczna szkoła na hipotezie światłego egoisty, t. j. człowieka, który zdąża tylko do materialnej korzyści, wie, co jego korzyścią i nic go nie krępuje w zrealizowaniu korzyści. Przeceniano tu inteligencję, nie doceniano strony moralnej i stąd też teoria ta nie wytrzymała próby życia. W polityce znów chcąc zbadać „obywatela“, przeceniła naukowa hipoteza i jego inteligencję i jego etykę i jego patryotyzm, przypuszczając, że obywatel to człowiek, który dba przede wszystkim o sprawę publiczną, wie co jej potrzeba i jest skutecznie uczynnym dla tej potrzeby. Pojęty tak obywatel, jako światły i gorliwy patryota, to ideał, nie typ, to ideał, nie żywy przeciętny człowiek. Na hipotezie tego idealnego typu oparto nowożytny ustrój i instytucję, wystąpił też deficyt intelektualnego i etycznego poziomu w stosunku do poruczonych zadań; nadano prawa i obowiązki ponad siły i tak jak przeciążony organizm fizyczny popada w rozstrój, tak i tu objawia się rozstrój intelektualny i etyczny, a co najmniej powstają warunki dla zaistnienia takiego rozstroju.

## POURQUOI SOUFFRIR?

Pytanie to nasuwa się mimowoli, gdy spojrzenie nasze pada na twarze wychudłe, blade, przedwcześnie pomarszczone o przyciemnieniu — typowe twarze neurasteników. Ludzie ci cierpią na migreny, bicie serca, brak apetytu, bezsenność i t. d. i widząc uporczywość cierpienia swego, tracą ochotę do życia. A jednak przeszło 15,000 lekarzy stwierdziło, że wszystkie te dolegliwości dają się skutecznie usunąć za pomocą systematycznej kuracji „Sanatogenem Bauera“ który znakomicie wzmacnia nerwy, pokrzepia organizm i przywraca energię życiową.

Sanatogen Bauera jest oryginalny tylko w pudełkach zaopatrzonych w czerwoną banderolę i jest do nabycia we wszystkich aptekach i składach aptecznych w opakowaniu 50, 100 i 250 gr. Dokładne wskazówki i odezwy lekarskie zebrane są w broszurkach:

### „POURQUOI SOUFFRIR“

„Środek wzmacniający i orzeźwiający zwłaszcza nerwy“  
i dostarczane są bezpłatnie przez

**GENERALNE PRZEDSTAWICIELSTWO SANATOGENU BAUERA, W WARSZAWIE, MARSZAŁKOWSKA 129.**



Zbyt optymistyczną okazała się w życiu praktycznym zasada „quisque praesumitur bonus“, zbyt optymistyczną także powyższa hipoteza polityczna, konstruujać sobie dowolnie, bez patrzenia na realnych ludzi, idealny typ obywatela, uposażając go we wszystkie cnoty i zalety, i podług tego nierealnego ideału wymierzająca prawa i zadania publiczne. Hipoteza ta, tem więcej musiała okazać się za optymistyczną, że równocześnie przyszło do gębokiej zmiany idei i stosunków.

Przewrót gospodarczy, wywołany przez nowe wynalazki, metody pracy, umiejscowienia produkcji, komunikacje nowe, wytworzył szanse z bogacenia wielkiego i ryzyko utraty samodzielnego bytu, dawnych podstaw egzystencji. Prowadziło to do walki o chleb i byt tem bezwzględniejszej, że poznoszono dawne organizacje bez wytworzenia nowych, zatimizowano społeczeństwo, tem samem powiększając szanse zwycięstwa dla silniejszych, bezwzględniejszych, tem więcej grożąc słabszym, nieprzystosowanym materialnie, intelektualnie, psychicznie do wyuzdanej walki o byt.

A równoczesna ekonomiczna hipoteza egoizmu, podniesiona w szkole manczesterskiej do jedynie słusznej zasady życia, rozpętała egoistyczne pobudki, wniosła w hipotetycznej jednolite szeregi obywateli, dbających rzekomo przedewszystkiem o sprawę publiczną, egoizm osobniczy, klasowy, zawodowy, partyjny, wyznaniowy, roznieciła nienawiści i apetyty, wysunęła ideę własnej korzyści ponad ideę korzyści publicznej, ponownie wniosła prywatę w polityczne życie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## Wieś i wystawa sportowa w Warszawie.

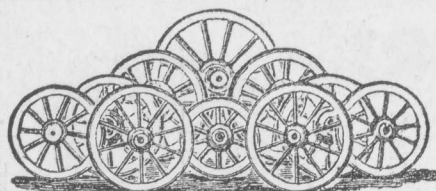
Ruchliwe i energiczne Warszawskie Koło Sportowe postanowiło w r. b. wiosną urządzić na terenie swym w parku Agrykola, wystawę sportową.

Pomysł bardzo fortunny, wymownie świadczący o poważnych dążeniach instytucji, istniejącej nie dla rozrywki sfer zamożniejszych lecz dla rozwijania i kształcenia zdrowia oraz cielesnych i fizycznych zdolności w społeczeństwie.

Nie wątpimy że wystawę sportową zainteresują się u nas bardzo szerokie koła, że obeślą ją obficie i instytucje sportowe i różne firmy handlowe. Ale z naszego specjalnego stanowiska uważamy za właściwe wypowiedzenie kilku uwag o stosunku, jaki zdaniem naszym powinien wytworzyć się między wystawą i jej komitetem a naszą polską wsią.

Wystawa sportowa jest u nas nowością. Warszawa i wogóle kraj nie miał jeszcze takiej ogólnosportowej wystawy. Powinna ona zatem być obrazem rozwoju sportu u nas nie tylko ze stanowiska dzisiejszego stanu i bieżących urządzeń ale także jako rzut retrospektywny, jako streszczenie wszystkiego tego, co w kraju naszym dla sportu robiono w szeregu długich lat.

Bo działalność taka istniała niewątpliwie. Może nie nosiła ona przyjętej dziś nazwy, może nie podszeregowywała się pod klubowe określenia i ogólne regulaminy, ale istniała i miała licznych zwolenników. Terenem jej uprzywilejowanym i prawie wyłącznym była właśnie — wieś. I dlatego dziś,



Wielki Medal Srebrny na Wystawie w Lublinie 1908 r.  
Złoty Medal na Wystawie w Częstochowie.

### SPECJALNA FABRYKA KÓŁ I WOZÓW H. WAGNER i S-ka

WARSZAWA, ULICA ŁUCKA № 11. TELEFON № 62-99.

Koła do karet, powozów, bryczek, platform, wozów i wszelkie inne gwarantowanej trwałości, naciągane **na zimno** na maszynach hydraulicznych. Nowe wozy kolejne, saskie i półtoraczne.

Genniki na żądanie gratis i franko.

### BIURO MELIORACJI ROLNYCH ORAZ BUDOWY CEGIELNI I FABRYK DRENÓW.

WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 108 (róg Chmielnej), tel. 115-02. — Oddział: MIŃSK-LITEWSKI „HOTEL-GARNI”.

INŻYNIEROWIE:

S. TURCZYNOWICZ, A. PONIKOWSKI, W. TROJANOWSKI i E. OSTROWSKI.

KREDYT MINISTERJUM ROLNICTWA I TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO.

## Polskie Biuro Leśne

Ks. Zdzisław Lubomirski i S-ka, Warszawa, Żórawia 22, tel. 90-90.  
Urządzenie gospodarstw leśnych, inspekcje i taksacje leśne. Komisowa sprzedaż lasów.

przy urządzeniu wystawy sportowej sądzimy że wsi przypada poważny udział w tem przedsięwzięciu.

Gry także jak piłka nożna, lawn-tennis, hosksy, polo, golf — były u nas do niedawna jeszcze nieznanne. Dziś jeszcze nie wszystkie z nich zyskały u nas prawo obywatelstwa. Ale istniało i rozwijało się świetnie od niepamiętnych czasów łowiectwo; istniało zamięłowanie do konia i ćwiczeń konnych, istniał słynny w całym świecie polski fechtunek. Śladów tych, w dzisiejszej terminologii, sportowych zamięłowań i ćwiczeń naszych przodków, daremnie by szukać w miastach. Dokumenty historyczne do nich pozostały na wsi. Znajdują się one tam w różnych rodzinnych archiwach i zbiorach w postaci ryzsztunków, broni i przyrządów wszelkiego rodzaju. Niewątpliwie, tu i owdzie, po magnackich pałacach i zamkach znaleźćby też można jakieś kronikarskie zapiski, objaśniające nam sposób urządzania różnych takich ćwiczeń. Dla działu historycznego rozwoju sportu u nas, wszystko to są rzeczy doniosłego znaczenia. Śmiem twierdzić, że przeszłość nasza w tym kierunku bogatszą jest niewątpliwie od przeszłości innych narodów, dziś przewyższających nas skalą i rozwojem swego sportowego życia. Podobnie silne zamięłowanie do konia, łowiectwa i gier orężnych, fechtów i turniejów, istniało we Francji, w Anglii, we Włoszech, w Hiszpanji nawet, ale już np. Niemcy stały w tym kierunku dość daleko za nami.

Opracowanie takiego działu historycznego i zgromadzenie go na wystawie sportowej nie jest, naturalnie rzeczą łatwą, nie może się obejść bez udziału osób zupełnie kompetentnych i bez pomocy wsi.

Ale osób kompetentnych nie braknie, a o dobrej woli wsi nie ma powodu wątpić. Trzeba tylko osoby te wyszukać, do udziału w tej pracy je zaprosić i energicznie sprawą się zająć.

Pozatem wieś i w dzisiejszych, współczesnych urządzeniach i ćwiczeniach sportowych dużo ma do pokazania i wystawienia. Wszak rozwój jednej z najgłówniejszych gałęzi sportu — sportu konnego mianowicie — ściśle się łączy z hodowlą konia! Wszak terenem drugiego z tych głównych u nas sportów — myśliwstwa — są lasy i pola wsi. Wszak głównego wstępu adeptów szermierki dostarczała i dostarcza zawsze młodzież wiejska ucząca się w miastach; wszak to sama młodź tworzy przeważnie dziś foot-ballowe drużyny!

Zdemokratyzowanie się sportu w dzisiejszych zdemokratyzowanych warunkach bytu zrównało wprawdzie w tym kierunku wieś z miastem ale okoliczność ta nie osłabia w niczem interesu wsi dla życia sportowego. Owszem, podnosi ona jeszcze ten interes i dlatego sądzimy, że wieś polska żywo zajmie się wystawą sportową i ochoczo przystąpi do udziału w niej. Ale wartość samej wystawy, przedewszystkiem zależeć będzie od dokładności i całokształtu poglądu, jaki zeń zaczerpnąć będzie można na historję sportu i jego postęp u nas. Dlatego trudno sobie wyobrazić tę wystawę bez retrospektywnego, historycznego oddziały.



**BIELIZNE**

DAMSKA  
SKROMNA  
WYKWINTNA  
CAŁKOWITE WY-  
PRAWY SŁUBNE

POLECAJA  
BRACIA **JABŁKOWSCY**  
WARSZAWA BRACKA 23  
PRÓBY I KATALOGI BEZPŁATNIE

*Magasin*

*Français*

*G. Bargoin*

*Bijoux de Paris*

*Varsovie*

*Nowy-Świat 45*

**Najpierwsza krajowa fabryka POMP  
Sikawek, Narzędzi ogniowych  
i Aparatów assenizacyjnych**

42 wyższe nagrody na wystaw. w Europie i Ameryce

**Józef Troetzer i S<sup>KA</sup>**

Egzystuje od 1842 roku

**w Pruszkowie**

Biurowo w Warszawie  
ul. Hr. Berga 2

## Gospodarstwo rybne w dominium Stradecz

Gubernia Grodzieńska, powiat Brevski.

Gospodarstwo Rybne Stradecz leży między wsiami Brodiatynem, Rogoźną i Miedną z jednej strony, a z drugiej—wsie Przyłuki i Stradecz. Majątek ten dość sporej przestrzeni, liczący się kiedyś na dziesiątki tysięcy morgów, przechodził z rąk do rąk co raz nowych właścicieli, szczerząc jednak w odsprzedanych częściach ziemi sąsiednim wsiom. Obecne centrum Stradeckiej przestrzeni po odciętych kawałkach ziemi, zostaje w figurze trójkątnej, liczącej 4030 morgów. Kiedyś były tu ogromne lasy i nieprzebyte bagna, gdzie zwierzę dziki znajdował sobie legowiska; były tu niedźwiedzie, wilki, łosie, saruy, dziki, borsuki i t. p. oraz drobna zwierzyna i ptactwo, jak cietrzewie, jarząbki, głuźce a nawet i dropie. Ongi odbywały się tu duże polowania, bo zwierzyna było pod dostatkiem, a głuźce i niedostępne knieje zimową porą od czasu do czasu odpowiadały echem myśliwskiego rogu. Dziś czasy się zmieniły, nieprzebyte bagna w części osuszyli, niebotyczne lasy wycięli, zarośla spalili, a zwierzę umknęło do sąsiednich lasów rządowych dookoła położonych i Stradeczka puszcza zamieniła się w rabunkowe zniszczone lasy. Ostatni właściciel dominium Stradecz, pan Szostak, w roku 1900 wybudował 2 folwarki w celu założenia gospodarstwa rolnego, jednak interes gospodarowania na ziemi piaskowej i po wyciętym lesie nie uśmiechał się, albowiem spore nakłady pochłaniały karczunki pni i osuszanie bagien, które to kosztować miało około 18 tysięcy rubli. Kanał przeprowadzono przez całą długość Stradeckiego terytorjum aż do rzeki Bugu, na przestrzeni 22-ch wiorst. (Rzeka Bug leży niżej Stradeczka o 10 sażeni). Wyżej wspomniany kanał kopany był jednocześnie i do spławu drzewa, którym spławiano bardzo dużo

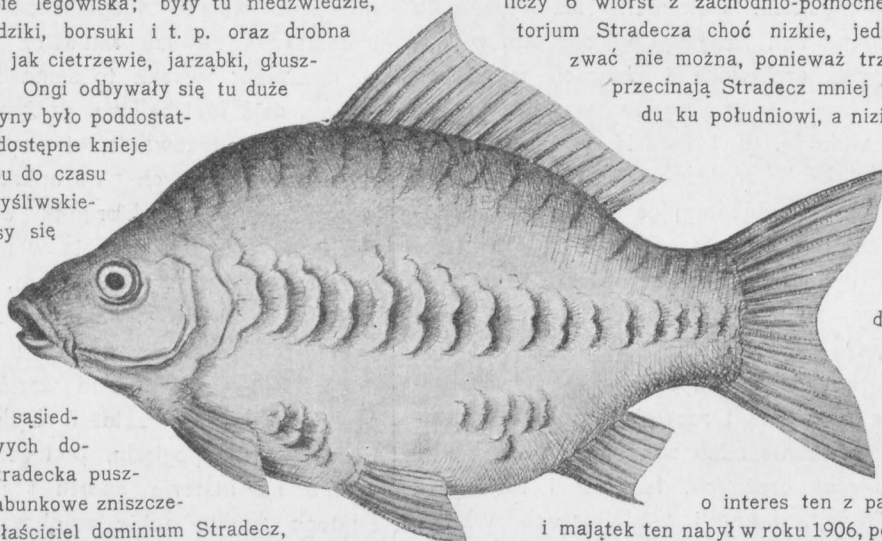
do Bugu. Jednak ta komunikacja okazała się niekorzystna, bo drzewo płynąc, obsunęło brzegi i rów został zniszczony w zupełności, a częścią zawałony drzewem.

Dominium Stradecz ma figurę nierównego trójkąta. Strona najdłuższa przy lasach rządowych Chołstynowskich, granicząca od wschodu mniej więcej w złamanej linii, liczy 8 wiorst długości po samej nizinie. Druga strona od lasów rządowych Miednańskich na południe liczy 5 wiorst w prostej linii i trzecia strona od wsi Miedny i granicy gruntów wsi Stradecz, liczy 6 wiorst z zachodnio-północnej strony. Terytorjum Stradeczka choć niskie, jednak równem nazwać nie można, ponieważ trzy rzędy góryste przecinają Stradecz mniej więcej od wschodu ku południowi, a niziny te między kra-

wędziami gór nadawały się do założenia gospodarstwa rybnego.

W roku 1905 dominium Stradecz było do sprzedania; wtedy to pan Mateusz Lacher zaczął traktować

o interes ten z panem Szostakiem i majątek ten nabył w roku 1906, poczem zaraz przystąpił do zakładania gospodarstwa rybnego. pod kierunkiem ś. p. Wacława Kamińskiego, technika ichtjologa i p. Czupryńskiego, rządowego geometry. Roboty te były dosyć utrudnione, ponieważ Stradecz był i jest zarośnięty gęsto młodzieżą drzewną, gdzie w przeprowadzaniu linii niwelacyjnych i pomiarowych łącznie orjentować się było trudno i wprost niedostępnie. Przez parę lat mozolnej pracy i sporych dość nakładów zostało zrobionych kilka stawów dużych o dość okazałej przestrzeni, a mianowicie jak w planie są wymienione: staw



Karp.

**Fabryka wyrobów stolarskich**

**Adama Jaszczółta**

Kaliksta 10, tel. 985.

Wielki wybór mebli gotowych  
przy fabryce.

MAGAZYN OPTYCZNY

**G. GERLACH**

WARSZAWA  
ul. Czysta № 4  
Telefonu № 177.

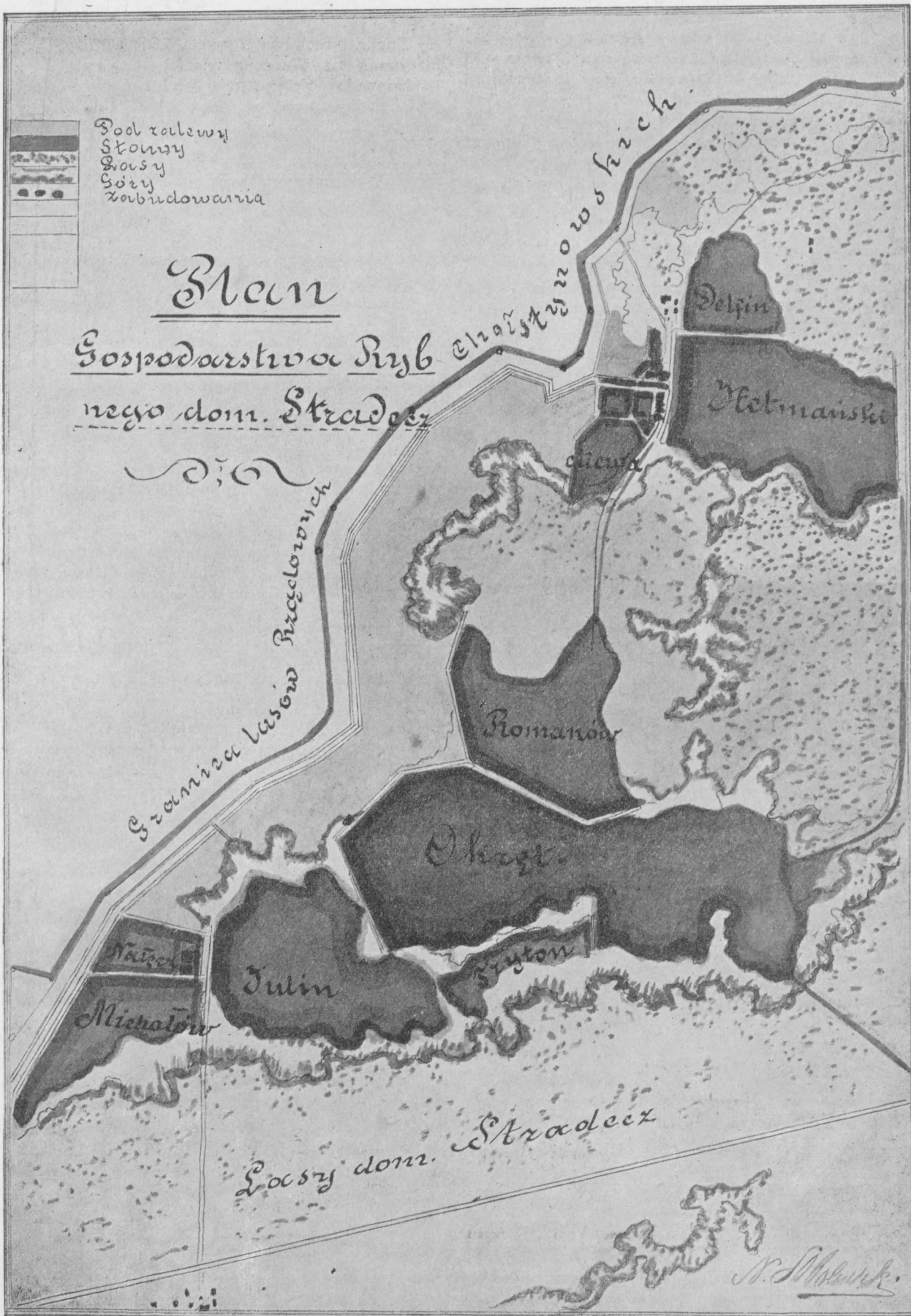


POLECA:  
WSZELKIE NAJNOWSZE

PRZYRZĄDY OPTYCZNE,  
METEOROLOGICZNE, RYSUNKOWE i t. p.

**ZARZĄD ORTOPEDYCZNO-CHIRURGICZNY I ZANDEROWSKI**  
D-rów W. ŁAPIŃSKIEGO i W. REKLEWSKIEGO  
ALEJA JEROZOLIMSKA № 65, Telefon № 20-22.

Choroby kręgosłupa (skrzywienia, garby) stawów, kości, mięśni, nerwów, przemiany materji (artretyzm i t. p.). Mechanoterapia (przyrządy motorowe), gimnastyka lecznicza, przyrządy do leczenia elektryczno-świetlnego i gorącym powietrzem.



Delfin" liczący 50 morgów, staw „Hetmański" — 300 morgów, staw „Mewa" — 30 morgów, staw „Romanów" — 160 morgów, staw „Okreń" — 500 morgów, staw „Tryton" — 35 morgów, staw „Julin" — 150 morgów, staw „Nałęcz" — 15 morgów, staw „Michałów" — 30 morgów, parę wycierówek i parę przepustek oraz kilkanaście magazynów przestrzeni 20 morgów, czyli razem obecne gospodarstwo rybne liczy 1290 morgów.

Stawy te z porośniętymi i nawpół suchymi zaroślami nie przedstawiają się w kulturze, jednak przyrost ryb jest dość ładny. Z czasem gdy się zarośla usunie, lustro wody będzie dostępne dla oka ludzkiego i garbnik drzewny zniknie, wtedy flora i fauna zmieni się korzystniej dla hodowli ryb. Gospodarstwo rybne w Stradeczu będzie w przestrzeni największe jakie znam w Królestwie, bo z nowymi stawami, które robimy i które będą zrobione w przyszłości przestrzeń powiększą gospodarstwa rybne o 1100 przeszło morgów, czyli całość gospodarstwa rybnego w Stradeczu dojdzie do 2.400 morgów, z produkcją ryby kupieckiej do 500.000 kaźdorocznie. Przy tak poważnej produkcji ryby kupieckiej, urządzenie gospodarstwa rybne liczyć musi na swoją hodowlę zarybków i kroczków, gdzie właśnie, szeregi za sobą idących wycierów, przepustowych i przesadzkowych — sadzawek i stawów urządzi się. — Magazyny rybne zajmą przestrzeń 20—30 morgową, aby taką ilość ryby zarybkowej, kroczkowej i kupieckiej pomieszczać do przezimowania.

Gospodarstwo Rybne Stradecz nie posiada żadnej obecnej rzeki dopływowej a posiłkując się wodą opadową, której brak zmusił obecnego właściciela pana Lachera do przeprowadzenia kanału do rzeki Proswy na długości 10 wiorst, aby zapewnić stały i obfity przyływ wody.

Urządzając gospodarstwo rybne, ciągle nowe przeszkody były do zwalczania: np. z powodu niewygodnej falistości ziemi na granicy lasów rządowych, i z powodu teźże granicy, trzeba było urządzić przekopy przez góry i dreny pod górę gł. 3½ sążnia i dł. do 70 sążni, aby można było podnieść poziom wody — nie czyniąc szkody sąsiednim granicom. Kanał, jaki obecnie prowadzimy do rzeki dla dopływu wody na stawy, sięga miejscami głębokością do 2-ch sążni przez pagórki; wahanie stałej głęb. kanału dochodzi 1-go sążnia przy 1½ sąż. odmiałach, z szerok. dna 60 sążni. W kanale tym urządzimy szluzu do napuszczania i zatrzymywania wody, oraz mosty przejazdowe dla dróg traktowych trafiających na kanał.

Roboty te prowadzimy konno i taczkami, płacąc od kubika miary rosyjskiego sążnia do 2-ch rb. Gospodarstwo rybne Stradecz po doprowadzeniu do zupełnego porządku, godne będzie zwiedzania i naśladowania, a patrząc na nie, będziemy mieli żywy przykład wytrwałości, jaką się szczycić może obecny właściciel majątku; pokonanie tylu trudności różnorodnych jest rzeczywistym dowodem, że cel zamierzony osiągnąć można zawsze — tylko trzeba chcieć.

NARCYZ SOBOLEWSKI.

### GABINET ŚWIATŁO I ELEKTROLECZNICZY D-ra Juliusza Wiśniewskiego.

Ordynatora Warsz. Szp. Ewangelickiego.

Leczenie Światłem Roentgena, Kromayegera, Elektroliza etc. — Choroby skóry, włosów, paznokci i Weneryczne.

Zielna 29, telefon 165-85.

## POWSZECHNE TOWARZYSTWO ELEKTRYCZNE

KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE 16/18. ADRES TELEGRAFICZNY „ALGEM“.  
Własne fabryki w RYDZE. Wszelkie Instalacje Elektryczne. Wielkie Składy materiałów elektrycznych.

### Odnaczenie.

Znana i ruchliwa firma „ALFRED GRODZKI“, otrzymała na Wszechrosyjskiej Wystawie Nasion i Maszyn w Petersburgu w lutym r. b. **WIELKI ŻŁOTY MEDAL** za pożyteczną działalność na polu rozpowszechniania najbardziej ulepszonych maszyn i narzędzi rolniczych.

## ODPOWIEDZI REDAKCJI.

*P. P. w Poznaniu.* Z powodu choroby redaktora i zagubienia listu, prosimy o łaskawe podanie szczegółowego adresu w celu objaśnienia przyczyn zwrotu przez komorę nadesłanego wienca.

*Hr. A. O. we Lwowie.* Adres „Jeźdźca i Myśliwego“ ul. Wilcza № 47. O fotografie sportowe b. prosimy. Najlepiej pod adresem Redakcji: Hoża 47.

*Sportsmence.* Z powodu wystawy sportowej jaka będzie w Warszawie, redaktor K. Laskowski wyda „Pamiętnik Sportowy“ — obejmujący wszystkie rodzaje sportów poczynając od łożnictwa a kończąc na tenisie, narciarstwie i t. d. Bardzo przeto są pożądane zarówno zdjęcia jak i artykuły z tej dziedziny.

*P. W. G. w Wilnie.* „Wyprawę Myśliwską“ hr. E. Mycielskiego-Trojanowskiego, nabyć można u Gebethnera i Wolffa. Cena 1 rb. 80 kop. Wydanie bardzo ozdobne.

*P. W. Lub. w Śluczczyźnie.* „Fermes et Chateaux“.

## Z dziedziny kosmetyki i higieny.

### ODPOWIEDZI I RADY.

*Maryli Z. z Wołynia.* Tak jest, Szan. Pani, w Kalotechnice, Marszałkowska 116, wykonywane są wszelkie zabiegi w zakres racjonalnej kosmetyki wchodzące, mianowicie: masaże twarzy odmładzający, radykalne usuwanie wągrów i króst zdejmnowanie znamion i brodawek elektrycznością. Najlepiej osobiście za bytnością w Warszawie, niech Sz. Pani pofatyguje się tam — lekarz przyjmuje codziennie od 4 — 6.

*X. I. Z.* Włosy wzmocni i pobudzi do porostu Radiol, myć głowę raz na dwa tygodnie mydłem płynnym Antrasolwem, a łupież wkrótce zupełnie zniknie. Po miesiącu przysłać włosy do powtórnej analizy do Kalotechniki. Wągry i tłuszcz z twarzy oraz tworzące się ciągle pryszczki usunie bezpowrotnie płyn Vesta i perełki alkaliczne. Zamówienia adresować prosię wprost do Kalotechniki, wysłać za zaliczką pocztową.

*Nerwowej.* Zmarszczki usunie masaż Autowibratorem Dr-a Johansena, codziennie po 10 minut, przed masażem lekko natrzeć twarz kremem Radium; myć się tylko Otrąbkami Vestą z wodą różaną Radioaktywną, a cera wkrótce się poprawi, odmłodzi i zmarszczki się rozejdą.

Wszystkie zalecane tutaj środki wysłać za zaliczeniem Kalotechnika, Marszałkowska 116, telef. 16-73, w Łodzi Spiess, we Lwowie Pawłowski, Akademicka 21; w Lublinie, Bernatowicz; w Sosnowcu Łączkowski; w Kijowie Jurotat; w Wilnie Gruzewski.

M-me LENA.